

KWADRANT

Rok IV

Łódź, 8 lutego 1948 r.

Nr 6 (127)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

PAWEŁ HOFFMAN

W setną rocznicę pierwszego wydania Manifestu Komunistycznego*)

„Widmo krąży po Europie — widmo komunizmu. Wszystkie potęgi starej Europy połączyły się do świętej nagonki przeciw temu widmu: papież i car, Metternich i Guizot, francuscy radykałowie i niemieccy policjanci”.

TAK scharakteryzowali autorzy Manifestu Komunistycznego atmosferę polityczną panującą w Europie na przełomie lat 1847—1848, kiedy powstawał Manifest — Wielka Karta międzynarodowego ruchu robotniczego i rewolucji socjalistycznej.

Manifest Komunistyczny, dzieło Marksa i Engelsa, był pierwszym proklamowanym wobec wszystkich narodów, wobec proletariatu wszystkich krajów, bojowym programem pierwszej międzynarodowej organizacji robotniczej, której ideologią stał się nowoczesny socjalizm naukowy.

Związek Komunistów, na którego polecenie Marks i Engels napisali Manifest, nie był pierwszą w ogóle organizacją rewolucyjnego proletariatu. Już przed nim, mniej więcej od połowy czwartego dziesięciolecia XIX wieku, organizacje takie istniały w zaawansowanych już na drodze kapitalistycznego rozwoju krajach Europy zachodniej, istniały wśród robotników różnych narodowości, istniały wśród emigracji zarobkowej i politycznej z krajów zacofanych, która osiedliła się we Francji, w Anglii, w Belgii, w Szwajcarii. Nie był też Związek Komunistów pierwszą organizacją komunistyczną, a jego członkowie, działacze i przywódcy nie byli pierwszymi komunistami. „Widmo komunizmu” krążyło po Europie już przedtem budząc przestrach rządów i klas posiadających. Zjawiało się wtedy, gdy kapitalizm — w tych krajach, w których był już dominującym sposobem produkcji — ujawnił swoje sprzeczności, gdy wystąpiły, w postaci kryzysów, bezrobocia, nędzy i degradacji mas, skutki jego anarchicznej ekonomiki, gdy właściwa temu ustrojowi sprzeczność między społecznym charakterem wytwarzania a prywatnym, indywidualnym sposobem przywłaszczania raz po raz wstrząsała podstawami społeczeństwa burżuazyjnego, powodując bezsensowne niszczenie dóbr, głód i cierpienia milionów.

Związek Komunistów, którego społeczno-politycznym programem i deklaracją ideową stał się napisany przez Marksa i Engelsa Manifest — był natomiast pierwszą międzynarodową organizacją rewolucyjnego proletariatu, która stanęła na gruncie socjalizmu naukowego, formułowanego przez autorów Manifestu już przedtem i później przez nich rozwijanego.

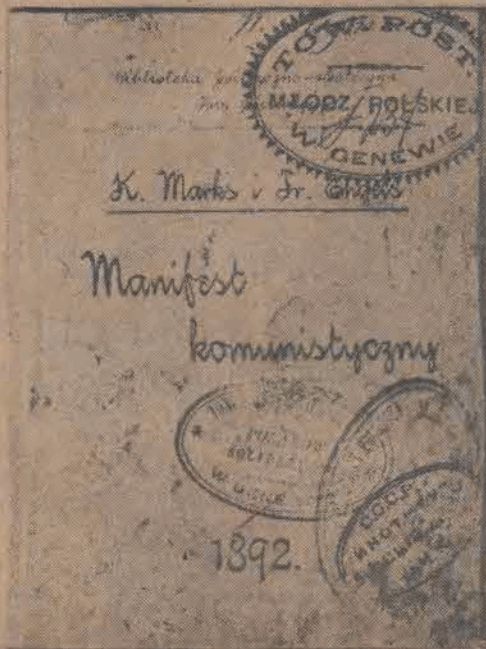
Naukowe pierwiastki nowej teorii socjalistycznej znajdowali jej twórcy — jak to sami zawsze podkreślali — w klasycznej filozofii niemieckiej (przede wszystkim i bezpośrednio w heglizmie, w postaci metody dialektycznej); znajdowali je w klasycznej ekonomii angielskiej (w Ricarda teorii wartości, głoszącej, że wartość towaru reprezentuje ilość, tzn. czas pracy potrzebny do jej wytworzenia); znajdowali je w rewolucyjnym ruchu politycznym zwłaszcza robotników francuskich, który wysuwał już hasła socjalistyczne.

Krytyka kapitalizmu, obnażanie jego niedomagań i niedorzeczności, projekty zastąpienia go komunistyczną organizacją społeczeństwa, wszystko to stanowiło zresztą treść rozmaitych systemów tzw. socjalizmu utopijnego, formułowanych przez wybitnych myślicieli stojących poza ruchem robotniczym.

Lecz były to właśnie tylko pierwiastki, zaczątki genialnych często koncepcji, genialnych przede wszystkim w sensie negatywnym, w sensie krytyki kapitalizmu, ale genialnych nieraz także w wizji przyszłego społeczeństwa komunistycznego.

O powstaniu rzeczywiście naukowego światopoglądu socjalistycznego, opartego wyłącznie na naukowej analizie i krytyce kapitalizmu, jego sposobu produkcji i jego stosunków

*)Przedmowa do jubileuszowego piętnastego polskiego wydania Manifestu Komunistycznego, które niebawem się ukáže nakładem „Książki”.



„Manifest Komunistyczny”
okładka polskiego wydania z 1892 r.



„Manifest Komunistyczny”
okładka polskiego wydania z 1907 r.

własnościowych, jak również na naukowej analizie przyczyn i dróg jego nieuniknionego upadku, o połączeniu tej naukowej teorii społecznej z praktyką rewolucyjnego ruchu robotniczego i przeniesieniu w ten sposób nauki do polityki służącej sprawie ludu — można jednak mówić dopiero od chwili, gdy sformułowana przez Marksa i Engelsa filozofia — materializm dialektyczny, zastosowany do zagadnień społecznych jako teoria materializmu historycznego, stała się naukową podstawą socjalizmu, światopoglądem rewolucyjnego proletariatu. Jest to zasługa Marksa i Engelsa, którzy w roku 1847 wstąpiłi w Brukseli do Związku Komunistów, stanęli od razu na czele tej organizacji i w tezach Manifestu sformułowali jej ideologię.

Jest więc nowoczesny socjalizm naukowy, marksizm i walczący pod sztandarem marksizmu rewolucyjny ruch robotniczy, dziedzicem i kontynuatorem wszystkich poprzednich plebejsko - demokratycznych ruchów społecznych, które na przestrzeni całych stuleci, a w każdym razie już w średniowieczu i w okresie reformacji, potem zaś w okresie rewolucji burżuazyjnej i po niej, wyrażały interesy i dążenia wyzyskiwanych i uciemnianych warstw ludowych.

Bezpośrednio zaś jest marksizm kontynuacją — na wyższym szczeblu świadomości i organizacji — tej walki, jaką robotnicy krajów kapitalistycznych wypowiedzieli burżuazji ryczo po jej zwycięstwie nad feudalizmem.

„Sprzysiężenie Równych” Babeufa w 1796 roku we Francji było pierwszym sygnałem świadczącym, że lud robotczy występuje na scenę historyczną jako siła przeciwstawna burżuazji, nie poprzestając już na zaprowadzeniu politycznej, formalnej równości wobec prawa, lecz dążąc, po omacku jeszcze, do zniesienia klas, tzn. do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka. Następne dziesięciolecie — aż po rok 1848 — to okres dalszego pogłębiania się i obnażania zasadniczego przeciwieństwa kapitalizmu, przeciwieństwa między burżuazją a proletariatem, między posiadającymi a nie posiadającymi. Świadomość tego przeciwieństwa występuje w walce robotników i spychanych na poziom proletariatu warstw drobnomieszczańskich, buntujących się przeciw kapitalistycznemu wyzyskowi i tworzących pierwsze organizacje o charakterze komunistycznym czy na wpół komunistycznym.

Z drugiej strony, tzw. utopiści, o których była już mowa wyżej, w swoich pracach teoretycznych demaskują zio zrodzone przez kapitalizm i wskazują na komunizm, jako na ów ustroj „harmonii społecznej” w którym człowiek wyzwolony z nieludzkich warunków kapitalizmu odnajdzie siebie, uzyska

możność wszechstronnego rozwoju swej osobowości.

Ale utopiści nie dostrzegali jeszcze w nowoczesnym proletariacie siły, która by sama, własnym czynem rewolucyjnym zdolna była wyzwolić siebie i wyzwolić ludzkość z kapitalistycznego jarzma, znieść kapitalizm i zaprowadzić ustroj komunistyczny. Przyczyna tkwiła zresztą w tym, że w ich czasach sam proletariatu nie zdołał jeszcze wytworzyć i w pełni ukształtować własnej, klasowej świadomości społeczno - politycznej, że nie przestał jeszcze być tylko „klasą w sobie” i stawił dopiero pierwsze kroki na drodze do przeistoczenia się w „klasę dla siebie” tzn. siłę w pełni świadomą nie tylko własnych celów klasowych, ale świadomą też swego przodownictwa w życiu i walce narodu, w życiu i walce ludzkości. W oczach humanitarnych myślicieli, jakimi byli utopiści, proletariatu stanowił tylko masę cierpiącą i pokrzywdzoną — a nie aktywny czynnik procesu historycznego, powołany i zdolny do rewolucyjnego przeobrażenia rzeczywistości. Dlatego utopiści mogli tylko apelować do rozumu lub poczucia moralnego moźnych tego świata, próbując przekonać ich o niedorzeczności i nienormalności kapitalizmu, o konieczności jego zniesienia. Argumentacja ich była albo racjonalistyczna albo sięgała do wymyślanego „ewangelicznego” chrześcijaństwa. Przy tym utopijny socjalizm był na ogół apolityczny, właśnie dlatego, że cel swój, komunizm, chciał osiągnąć nie przez walkę z burżuazją, lecz przez przekonanie jej, nie przez rewolucyjny czyn proletariatu, lecz przez zbawienie go.

Z drugiej strony, przedmarksowskie ruchy robotnicze i plebejskie XIX wieku, jakkolwiek mniej lub więcej świadomie, mniej lub więcej konsekwentnie mobilizowały już proletariatu i w ogóle warstwy uciśnione do akcji politycznej, a nieraz do rewolucyjnej walki o władzę, tkwiły jeszcze, o ile idzie o program społeczno - ekonomiczny, w poglądach utopijnych; ideologicznie nawiązywały również do racjonalizmu lub do — zgoła fantastycznie interpretowanego — ewangelicznego chrześcijaństwa i na takich podstawach filozoficznych formułowały różne koncepcje socjalizmu równościowego (egalitaryzmu), wychodzące w gruncie rzeczy z urojenia, że pogłębienie rewolucji burżuazyjnej, że konsekwentne wykonanie jej liberalno - demokratycznych hasel „wolniści, równości i braterstwa” doprowadzi do wyzwolenia ludu pracującego i do socjalizmu lub że cele te dadzą się osiągnąć przez urzeczywistnienie na ziemi zasad „prawdziwego chrześcijaństwa”, głoszącego równość wszystkich ludzi wobec Boga.

Jednakże olbrzymia doniosłość historyczna tych pierwszych ruchów klasy pracującej

Zacni ludzie sądzą, że postępują mądrze, oddzielając politykę od literatury. W ten sposób pomagają ludziom kłamstwa i niesprawiedliwości triumfować w literaturze i polityce.

Emil Zola

TREŚĆ NUMERU:

- PAWEŁ HOFFMAN —
W SETNĄ ROCZNICĘ PIERWSZEGO WYDANIA MANIFESTU KOMUNISTYCZNEGO
- JERZY MILLER —
WIERSZE
- ALEKSANDER WAT —
ANTYZOIL ALBO REKLEKcje NA ZAKOŃCZENIE ROKU
- PAWEŁ HERTZ —
W KORKOWYM POKOJU
- RYSZARD MATUSZEWSKI —
LUDZKI KRAJOBRAZ „LATA” ADOLFA RUDNICKIEGO
- ANNA POGONOWSKA —
WIERSZE
- WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ —
MERCURY
- ADAM MAUERBERGER —
ANGLIA — POLSKA 1830—1840
- GEORG LUKACS —
POWIEŚĆ JAKO MIESZCZAŃSKA EPOPEJA (dokończenie)
- ANDRZEJ BRAUN —
OPOWIADANIA ARAGONA
- STEFAN OTWINOWSKI —
W KRAKOWIE (LIST TRZYDZIESIĄTY PIERWSZY)
- Z RUCHU WYDAWNICZEGO
- PRZEGLĄD PRASY
- KORESPONDENCJA
- NOTY

polega na tym, że były już ruchami właśnie klasowymi, że proklamowały rewolucyjną walkę ludu z wyzyskiwaczami, że w wielu wypadkach rozumiały polityczny charakter tej walki, jako dążenia do zdobycia władzy — że cel swój widziały w zniesieniu burżuazyjnej własności, a drogę do tego celu w ludowładztwie. Klasowa istota społeczeństwa burżuazyjnego ukazywana jest i piętnowana w literaturze tych ruchów nieraz bardzo wyraźnie i ostro, a wraz z nią klasowa treść burżuazyjnej, demokracji i klasowa ograniczoność burżuazyjnej rewolucji czy reformy politycznej. Rewolucyjna świadomość nowoczesnego proletariatu toruje sobie tu drogę poprzez całe nawarstwienia drobnomieszczańskiego radykalizmu, egalitaryzmu i poglądów utopijno-socjalistycznych w jakich tkwią nawet najwybitniejsi myśliciele reprezentujący tę wczesną fazę ruchu socjalistycznego (np. Wilhelm Weitling).

W roku 1834 powstaje w Paryżu pierwsze tajne stowarzyszenie emigrantów niemieckich, przeważnie czeladników rzemieślniczych, tzw. Związek Banitów (Bund der Geächteten). W organizacji tej szybko krystalizuje się lewe, wyraźnie antyburżuazyjne skrzydło z Teodorem Schusterem na czele. W walce z poglądami drobnomieszczańskiego radykalizmu, reprezentowanymi w łonie Związku przez Jakuba Venedeya, Schuster demaskuje klasowy charakter demokracji burżuazyjnej i na przykładzie Stanów Zjednoczonych, kraju najczystszej, najbardziej od feudalnych przeżytków wolnego kapitalizmu, stwierdza

„...że pokojowe współistnienie — przy demokratycznej konstytucji — dwóch klas, aż do wrogoci rozdzielonych przez swoje interesy i cele polityczne, nie jest możliwe i że nieuniknionym wynikiem tej walki jest albo unicestwienie konstytucji, bądź to w jej duchu, bądź w jej formie, albo zupełny upadek klasy uprzywilejowanej na drodze rewolucji społecznej”.

I Schuster oświadcza, że stosunki społeczne, panujące w republikańskich Stanach Zjednoczonych, w istocie rzeczy nie różnią się od stosunków panujących w europejskich monarchiach: tu i tam rządzi bogactwo i występki, a uciśniona jest bieda i cnota, tu i tam jedynym wyjściem z obecnej sytuacji jest rewolucja społeczna.

„Tak jest — pisał Schuster — wobec przyjaćiół i wrogów oświadczyliśmy głośno: nie zamierzamy zadowolnić się owymi niedzielnymi farsami, jakimi są zmiany rządu i konstytucji, które tak często w historii nowożytnej miały powodzenie kosztem ludu: cel nasz

sięga dalej, a że nie leży w naszym charakterze ludzkiego kogokolwiek ani w złym, ani w dobrym, od tej chwili cel ten głośno wymieniamy. Jest nim radykalne, społeczne i polityczne wyzwolenie klas pracujących“.

Słowa te zapowiadały już rozłam w Związku Banitów. I rzeczywiście, w roku 1836 rewolucyjne żywioły z Teodorem Schusterem na czele opuszczają organizację i zakładają Związek Sprawiedliwych (Bund der Gerechten), od którego prowadzi już droga do późniejszego Związku Komunistów. Klasowo proletariackie skrzydło demokracji kryształowało się i dojrzało do przyjęcia marksizmu jako swej ideologii.

W tym samym czasie, kiedy wśród emigrantów niemieckich Teodor Schuster formułował pierwsze elementy rewolucyjnej ideologii proletariatu, i formułował je w walce z drobnomieszczańskim radykalizmem ogólnodemokratycznym, z grona polskich emigrantów, żołnierzy Powstania Listopadowego, przebywających w Anglii, pada pierwsze słowo plebejsko-rewolucyjnego programu walki, o zabarwieniu klasowym i socjalistycznym.

W odezwie wydanej w Portsmouth 30 października r. 1835 przez emigrancką organizację „Lud Polski — Gromada Grudziądz“ czytamy:

„Bólem polskiego ludu jest głód, zimno, choroba, chłosta, wzbudzenie umysłowego wzrostu. Nędzę sprowadzają posiadacze, cierpią nie-possiadacze. Ażeby ustalić równość, znieść nędzę i pojedynczych tyranów chęci zbezbliżyć, należy dążyć do tego, by ludzie nie dzielili się na mających własność i na obóz bez ziemi, na ród półbogów i na ród stadniczych istot, w ludzkie przyrodzianych rysy“.

Ze względu na stosunki polskie, jeszcze feudalne, ideologia Ludu Polskiego miała charakter przede wszystkim socjalizmu agrarnego, program jego był programem radykalnej rewolucji chłopskiej, a filozofia jego był ewangeliczny egalitaryzm, nawołujący do legendarnego pierwotnego czystości i straszczący się w haśle „porównania kondycji społecznych“. Ale przebywając na Zachodzie, w wysoko pod względem kapitalistycznym rozwiniętej Anglii — ci pierwsi socjaliści polscy zaczęli już rozumieć klasową istotę ustroju burżuazyjnego, co wynika choćby z takich słów zawartych we wspomnianym dokumencie:

„Panowanie szlachty czy kupców, panów czy kramarzy, Jaśnie Wielmożnych czy Sławetnych* różni się tylko nazwiskiem, nie jest niczym innym jak przeobrażoną niewolą“.

Rzecz znamienna, że na najbardziej wówczas postępowy republikański ustrój kapitalizmu w Stanach Zjednoczonych ci pierwsi socjaliści polscy patrzyli zupełnie tak samo, jak wspomniana wyżej lewica Związku Banitów (Schuster). Oto ukonstytuowana w „Gromadzie Humań“ grupa emigrantów polskich w St. Hélier's (Francja) oświadcza w piśmie z 14 marca r. 1836:

„Nie dosyć jest uwolnić się spod ciężaru głów ukoronowanych, aby demokracją zostać. Nie dosyć także wyrzec się zbutwiałych pergaminów szlachectwa, aby się nazwać czystym wyznawcą zasad równości; Rzeczpospolita Amerykańska przestała królom ulegać — ale Federacja Stanów Zjednoczonych Ameryki nie jest ostatecznym celem życzeń naszych“.

Na dwanaście lat przed wielkim rokiem 1848 spotykamy więc sformułowaną rewolucyjną dążenie plebejskich świadomości przeciwstawnych wszystkim klasom posiadającym, zarówno arystokracji ziemskiej i pieniężnej, która rządziła w monarchii lipcowej we Francji, jak burżuazji przemysłowej, która znajdowała się wówczas w opozycji. Znajdujemy uświadomioną przeciwstawność między interesami ludu pracującego a tym, co chce i może mu dać klasowo ograniczona demokracja burżuazyjna. Właśnie przykład Stanów Zjednoczonych jako najbardziej wówczas typowego ustroju demokracji burżuazyjnej, która nie zaspokaja społecznych dążeń ludu pracującego, figuruje — jak widzimy — zarówno w argumentacji niemieckiego emigranta - rewolucjonisty, Teodora Schustera, jak w literaturze polskiej lewicy emigracyjnej. Bo rewolucyjne idee zachodnio-europejskiego socjalizmu robotniczego przenikały do świadomości polskich emigrantów w Anglii i we Francji. Jeżeli jednak ruch robotniczy w kapitalistycznych już krajach Zachodu podnosił się na coraz wyższy poziom teoretyczny i organizacyjny, stał się wkrótce podłożem, na którym wyrósł marksizm — polski socjalizm emigracyjny nie wyszedł, nie mógł wyjść z owej początkowej fazy, której odbiciem była ideologia Ludu Polskiego, nie stał się też elementem kształtowania się socjalizmu naukowego. Nowoczesna ideologia proletariatu, jaka jest marksizm, mogła powstać tylko na gruncie rozwiniętych stosunków kapitalistycznych w Europie Zachodniej.

Ewolucja ideowa zachodnio-europejskiego ruchu robotniczego nieuchronnie i konsekwentnie prowadziła najbardziej świadomy i aktywny odtąd proletariatu do zrozumienia roli tej klasy w społeczeństwie i jej miejsca w historii, do uświadomienia sobie, że proletariatu jest w ogóle ostatnią klasą wyzyskiwaną ostatniego społeczeństwa klasowego. W praktyce ruchu robotniczego, w jego zastraszającej się i zataczającej coraz szersze kręgi walce politycznej z burżuazją, z jej państwem dojrzało zrozumienie tej wiel-

kiej prawdy marksizmu, że wyzwolenie robotników może być tylko ich własnym dziełem. Manifest Komunistyczny sformułował naukową teorię tej walki i wskazał ostateczny jej cel: społeczeństwo komunistyczne.

Tak jak ruch robotniczy dojrzał do przyjęcia marksizmu, tak samo, równoległe z tym procesem i w związku z rozwojem ruchu robotniczego, naukowy socjalizm dojrzał w pracy teoretycznej Marksa i Engelsa, która przez krytykę burżuazyjnej filozofii i ekonomii doprowadziła ich do sformułowania materialistycznego i dialektycznego poglądu na świat i dzieje ludzkości. Dopiero oparty na tej naukowej podstawie, robotniczy socjalizm mógł się uwolnić od wszystkich utopijnych koncepcji, od owej mu drobnomieszczańskiej fantastyki równościowej. Dopiero w marksizmie znalazł proletariatu ideologię zabezpieczającą ruch robotniczy przed wpływami burżuazji i drobnomieszczaństwa, dopiero dzięki marksizmowi klasa robotnicza mogła stanąć na czele wszystkich wyzyskiwanych i uciskanych klas i warstw nowoczesnego społeczeństwa — mogła stanąć na czele narodu.

Wszystko, co w ciągu minionego stulecia aż po dzień dzisiejszy stanowi oręż teoretyczny proletariatu w jego walce o socjalizm, wszystko, co decyduje o tym, że proletariatu stoi na czele ludzkości w jej historycznym pochodzie naprzód — znalazło podstawowe sformułowanie w tezach Manifestu Komunistycznego, z którego teoria i praktyka rewolucji socjalistycznej brała zawsze natchnienie ideowe.

Nie wydaje się, żeby po stu latach, kiedy wskazania Manifestu stają się rzeczywistością, kiedy socjalizm nie jest już dalekim ideałem przyszłości, lecz treścią życia milionów, a w ogromnej części świata panującym ustrojem społecznym i państwowym — nie wydaje się, żeby dziś potrzebne było scholastyczne komentowanie Manifestu, skoro najlepszym do niego komentarzem stała się historia, stało się samo życie. Jakiego bowiem komentarza wymaga dziś ustęp Manifestu, w którym mowa o roli rewolucyjnej partii robotniczej:

„Komunisty tym tylko różnią się od pozostałych partii proletariackich, że z jednej strony, w walkach toczonych przez proletariuszy różnych narodów podnoszą i wysuwają na czoło wspólne, niezależne od narodowości interesy całego proletariatu, z drugiej zaś strony, tym — że na rozmaitych szczeblach rozwoju, przez które przechodzi walka między proletariatem a burżuazją, reprezentują stale interesy ruchu jako całość“.

W praktyce więc komunisty są najbardziej zdecydowaną, wciąż porywającą naprzód częścią partii robotniczych wszystkich krajów; w teorii wyprowadzają oni pozostałą masę proletariatu z rozumieniem, warunków, przebiegu i ogólnych wyników ruchu proletariackiego“.

Ta wskazana przez twórców Manifestu rola partii proletariatu, jako jego rewolucyjnej awangardy, znalazła całkowite potwierdzenie w okresie, jaki dzieli nas od owych czasów, przede wszystkim zaś za naszego już życia w praktyce ruchu robotniczego i rewolucji socjalistycznej. I dziś bardziej może niż kiedykolwiek przedtem zrozumiałe jest dla nas takie zdanie o komunistach:

„Walczą oni o osiągnięcie najbliższych celów i interesów klasy robotniczej, ale w ruchu teraźniejszym reprezentują jednocześnie przyszłość ruchu“.

Stąd sformułowany w Manifestie stosunek Partii Komunistycznej do innych partii robotniczych i demokratycznych, sformułowany konkretnie w odniesieniu do każdego kraju. Stąd ogólna formuła, jakże bliska nam zwłaszcza dziś:

„Słowem, komunisty popierają wszędzie wszelki ruch rewolucyjny przeciw istniejącym stosunkom społecznym i politycznym“.

I w konsekwencji:

„Wreszcie komunisty działają wszędzie na rzecz łączności i porozumienia partii demokratycznych wszystkich krajów“.

Historyczna doniosłość, wielkość ideowa i głębia teoretyczna Manifestu na tym właśnie polega, że sformułowania jego i tezy, dotyczące najrozmaitszych dziedzin i problemów społeczno-politycznych, zarówno w sferze teorii jak w zakresie praktyki, nabierają w różnych fazach ruchu rewolucyjnego znaczenia najbardziej aktualnego, że zapładniają myśl i naprowadzają na rozwiązania w sytuacji zgola przeciw odmiennej od tej,

w jakiej rodził się marksizm, w jakiej powstawał Manifest Komunistyczny. I jeżeli w okresie upadku kapitalizmu tak bezpośrednio aktualny jest wydział Manifestu, to fakt ten pochodzi z samej istoty marksizmu, który nie jest jakimś raz na zawsze objawionym, wiekiustym i ostatecznym dogmatem, lecz żywą nauką — „wyticzną działaniem“. Kto by chciał lekceważąc stuletni dystans, jaki dzieli nas od chwili powstania Manifestu, niewolniczo trzymać się każdej jego litery i dosłownie stosować każde jego sformułowanie, dotyczące przecież zgola innych warunków historycznych, zgrzeszyłby przeciw jego duchowi, przeciw intencjom jego twórców, rozbroiłby się w obliczu nowych i odmiennych zadań praktycznych, wysuwanych przez dzisiejszą rzeczywistość, zadań, których twórcy Manifestu przed stu laty ani nie mogli, ani nie chcieli „przewidywać“ czy określać konkretnie. Jest np. w Manifestie takie zdanie:

„Robotnicy nie mają ojczyzny. Nie można im odebrać tego, czego nie mają“.

Pisane były te słowa w okresie, w którym narodowi przewodziła burżuazja. Pod jej kierownictwem odbyła się przecież rewolucja przeciwko feudalizmowi, pod jej kierownictwem kształtował się nowoczesny naród, ona zbudowała nowoczesne państwo narodowe i jej klasowym interesem państwo to wówczas służyło. Oboż wskazując proletariatu jego historyczną misję, która może być spełniona tylko w zwycięskiej walce z burżuazją, wskazując klasie robotniczej jej przodujące stanowisko na czele narodu, Manifest Komunistyczny uczy, że

„proletariat musi przede wszystkim zdobyć sobie władzę polityczną, podnieść się do stanowiska klasy narodowej, ukonstytuować się jako naród“.

Sto lat minęło od chwili napisania tych słów. I oto proletariatu „podniósł się do stanowiska klasy narodowej“, która albo zdobyła władzę polityczną, albo jest w trakcie jej zdobywania. Proletariat reprezentuje dziś — bezpośrednio już — ogólne interesy narodu nawet w krajach, w których nie posiada jeszcze władzy, w których nie jest jeszcze klasą rządzącą. Proletariat „ukonstytuował się jako naród“ w krajach, w których rządzi lub współrządzi jako przodująca klasa narodu: w ZSRR, w państwach demokracji ludowej. Ze przy tym przestał już — jak w ZSRR — być proletariatem, że w krajach demokracji ludowej idzie innymi drogami ku temu, by przestać być proletariatem, że to samo nastąpi w każdym kraju, w którym proletariatu zdobył władzę „ukonstytuując się jako naród“, wynika z historycznego miejsca, jakie klasa ta zajmuje w społeczeństwie jako ostatnia klasa wyzyskiwana i uciskana, która nie może się wyzwolić nie wyzwoliwszy całego społeczeństwa i której wyzwolenie oznacza zniszczenie samej siebie.

Ten niecierpalny i oczywisty dziś dla nas związek wzajemny między rewolucyjną walką proletariatu o wyzwolenie społeczne a jego zadaniami narodowymi znalazł nie-dwuznaczne i dobitne sformułowanie w przedmowie Engelsa do polskiego wydania Manifestu (r. 1892). Czytamy tam: „Szczera współpraca międzynarodowa ludów europejskich możliwa jest jedynie wówczas, kiedy każdy z tych narodów jest u siebie w domu zupełnie niezależny“.

A w rok później, w przedmowie do włoskiego wydania z roku 1893, Engels jeszcze raz to podkreśla: „Bez przywrócenia niepodległości i jedności każdego narodu nie mogłoby nastąpić ani międzynarodowe zjednoczenie proletariatu, ani spokojna i świadoma współpraca tych narodów w imię wspólnych celów“.

Słowa te pisał Engels na dwa lata przed śmiercią, już u progu imperialistycznej ery kapitalizmu. I może nigdy od chwili ich napisania nie miały one wymowy tak bezpośrednio aktualnej i praktycznej, jak dziś, gdy proletariatu jest na całym świecie kierowniczą siłą w walce narodów o wolność i niepodległość zagrożoną lub dławioną przez imperializm. Ale też historyczna pozycja proletariatu, siła, jaką proletariatu reprezentuje w świecie, tym samym zaś jego przodująca rola w pochodzie ludzkości naprzód, ma dziś zgola inne wymiary niż wtedy.

Dziś — na ogromnych obszarach ziemi wydartych kapitalizmowi — znajdujemy się już w okresie praktycznego urzeczywistnienia tej misji, jaką wskazał robotnikom Manifest Komunistyczny:

„Proletariat użyje swoje panowanie polityczne na to, by krok za krokiem wyrwać z rąk burżuazji cały kapitał, by scentrali-

zować wszystkie narzędzia produkcji w ręku państwa, tj. w ręku zorganizowanego jako klasa panująca proletariatu, i by możliwie szybko zwiększyć masę sił wytwórczych“.

Początkowo może się to oczywiście dokonać tylko za pomocą despotycznych wtargnięć w prawo własności i w burżuazyjne stosunki produkcji, a więc za pomocą rządzeń, które ekonomicznie wydają się niedostateczne i nieuzasadnione, ale które w przebiegu ruchu przerastają same siebie i są niemiękkie jako środki przewrotu w całym sposobie produkcji“.

Doświadczenia ostatniego trzydziestolecia — doświadczenia zwycięskiej rewolucji socjalistycznej w ZSRR i rewolucyjnymi przemian społeczno-politycznymi w krajach demokracji ludowej, jednocześnie zaś tragiczne doświadczenia klęsk i niepowodzeń proletariatu na Zachodzie — dowiodły niezbicie, że bez spełnienia tych dwóch podstawowych warunków wskazanych przez Manifest, bez zdobycia władzy państwowej i bez „despotycznych wtargnięć w prawo własności i w burżuazyjne stosunki produkcji“, proletariatu nie zdoła spełnić misji, jaką ma do spełnienia wobec siebie i wobec całej ludzkości. I tylko tam, gdzie warunki te zostały ziszczone, społeczeństwo wyzwolone z jarzma kapitału kroczy naprzód ku socjalizmowi lub od socjalizmu ku komunizmowi. Nie jest też zjawiskiem przypadkowym, że właśnie te dwa najistotniejsze postulaty polityczne, warunkujące przeobrażenie kapitalizmu w socjalizm — zdobycie władzy oraz przewrót w dotychczasowych stosunkach własnościowych i wytwórczych — były zawsze i są dziś kwestionowane przez wszystkie żywioły kontrewolucyjne, które w łonie ruchu robotniczego lub na jego periferiach wyrażały w teorii i realizowały w praktyce dążenia wrogie proletariatu i socjalizmowi, a w różnych postaciach i odmianach antymarksistowskiego rewizjonizmu zaszczerpały klasie robotniczej burżuazyjne idee i poglądy.

Jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą, że burżuazja i kierunki reprezentujące ideologiczny nacisk burżuazji na ruch robotniczy przeciwstawiały się i przeciwstawiają postulatowi zdobycia władzy przez proletariatu, ukonstytuowania się proletariatu w klasę rządzącą. Państwo proletariatu, państwo ludu pracującego — państwo socjalistyczne czy państwo demokracji ludowej — jest bowiem konieczną, historycznie uwarunkowaną formą organizacji społeczeństwa w procesie jego przeobrażania się z rozdartego na klasy, kapitalistycznego, w bezklasowe, socjalistyczne. W tym przejściowym okresie siła państwa — służącego już nie antyspołecznym interesom burżuazji, lecz interesom ogółu — jest siłą społeczeństwa, którego państwo to jest organem. Dopiero wyczerpanie wszystkich zadań stojących przed społeczeństwem tego okresu oznacza również wyczerpanie wszystkich funkcji państwa, które w konkretnej rzeczywistości polegała przecież nie tylko na przeobrażeniu stosunków społecznych, ale też na obronie nowego społeczeństwa przed próbami restauracji z zewnątrz, ze strony zorganizowanej państwowo burżuazji innych krajów, w których nie nastąpiła jeszcze rewolucja. I znów doświadczenie ostatniego trzydziestolecia, przykład socjalistycznego społeczeństwa, któremu wypadło zbrojnie odparać najazd imperializmu i które tylko dlatego zwyciężyło w tym starciu, że rozporządzało silną organizacją państwową — przykład ten jest wymowniejszy niż wszelkie argumenty teoretyczne, wysuwane przeciw kontrewolucyjnemu rewizjonizmowi.

Tylko w ustawicznym i wytrwałym zmaganiu z wszystkimi siłami wstecznymi — i tymi, które jawnie zwalczają socjalizm, i tymi, które próbują paraliżować ruch robotniczy od wewnątrz — może ludzkość pod przewodnictwem proletariatu iść ku ostatecznemu celowi, o którym marzył wielcy utopieści, o którym wybitny ideolog przedmarksowskiego socjalizmu robotniczego, Weitling, pisał, że „społeczeństwo doskonałe nie ma rządu, tylko zarząd“ — ku celowi wskazanemu przez Manifest Komunistyczny:

„Skoro w biegu rozwoju zanikną różnice klasowe i cała produkcja zostanie ekwilibrana w ręku zrzeszonych jednostek, władza publiczna utraci swój charakter polityczny. Władza polityczna, we właściwym tego słowa znaczeniu, jest zorganizowaną przemocą jednej klasy celem ucisku innych. Jeśli proletariatu siła rzeczy jednocy się w walce z burżuazją w klasę staje się poprzez rewolucję klasą panującą i jako klasa panująca znosi przemocą dawne stosunki produkcji, to znosi wraz z tymi stosunkami produkcję warunki istnienia przeciwieństw klasowych, znosi w ogóle klasy i tym samym swoje własne panowanie jako klasy“.

Miejsce dawnego społeczeństwa burżuazyjnego z jego klasami i przeciwieństwami klasowym; zajmuje zrzeszenie, w którym swobodny rozwój każdej jednostki jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich“.

Zawarta w tych słowach głęboko humanistyczna treść marksizmu, ukazany w nich ogólnoludzki charakter klasowej walki proletariatu jako przewodnika całej ludzkości w jej pochodzie ku wyzwoleniu, ku pełnemu uświadomieniu stosunków międzyludzkich, sprawia, że po stu latach Manifest Komunistyczny nie tylko nie stracił na aktualność, ale na tle dotychczasowych zwycięstw socjalizmu i trwającej jeszcze walki o urzeczywistnienie jego celu ostatecznego jest żywym, wszechstronnie zapładniającym programem światowego obozu wolności i postępu.

Paweł Hoffman

JERZY MILLER

KOMENTARZ DO WIERSZY

Natłoki obrazów, jakby maligna współczuwająca przy chorym zdrowemu dająca sygnał, aby opuszczał stopy.

Urywki myśli, które nie kołczą zaczętej figury, otwarte płuca metafory, jak pnie odarte z kory, wdoki odemknięte ledwie, by zapas nie poznała, jak nie użyte medium młoczące wzrokiem szklanym.

Jak lzy nim się zbiorą w nienawistne krople, tak śnieg tający wieczorem rano zastygł w sopie.

NA PLACU

Gdy tramwaje obok karuzeli zagryzały na tang motywie ktoś pionowy stan łódki ustalił tak wysoko, aż go ujrzał poza murem żołnierze z Westfalii.

Oto chłopiec wystawił się na cel jak moneta ciśnięta w powietrze gdy zawisnął niby ptak nad placem przejrzystością otoczony zawsze.

Nie wytrwawszy w bezruchu rozkrzyżował ramiona, gdy rozbiły się próchno rządu latarni ikona.

Motyw tang tramwaje zagłuszyły i strzałów milkły echa w dywanów traw tulących ciało.

* Tak tytułowano w ówczesnej Polsce mieszczan.

ALEKSANDER WAT

Antyzoil albo rekolekcje na zakończenie roku

Dyskusja o literaturze VIII*)

Zamiast wstępu. Ferdurkizacja naszej literatury, tj. sadzenie ogółu naszych literatów na ławce szkolki elementarnej i prawie im gorzkich prawd i nauk — na szczęście trwało krótko, zaledwie kilka miesięcy. Miało ono i swoje zyski: nauczyło mentorów, że to nie są skuteczne metody wychowawcze, elewów natomiast uświadomiło, że tzw. opinia publiczna jest z nich niezadowolona. Pozostał jednak po awanturze jakiś osad emocjonalny, złe samopoczucie — zarówno u jednych jak i drugich, jakieś uczucie zażenowania, niechęci, poniżenia. Tak jakby — żeby przywrócić wulgarnie — ojciec publicznie spuścił manto synowi, który nie jest już golowasem... A ponieważ efekty złych uczuć bywają trwalsze od złych myśli i faktów, więc wydaje mi się, że nie bez pożytku będzie wrócić do tych wszystkich spraw, tylekroć już i tak szczegółowo omówionych.

Osobliwością naszej polemiki literackiej — nie tylko tej i nie tylko zresztą literackiej — jest skłonność do generalizowania, do objęcia jak najszerszych zakresów. Można np. sobie wyobrazić, i zdarzało się to nieraz w przeszłości, że jakieś społeczeństwo zasobne w dużą liczbę pisarzy — ze względów pozaliterackich, które uważało w owej chwili za najistotniejsze i ogólnie obowiązujące — potępiało jakąś jedną grupę literacką i hamowało rozwój jakiejś jednej tendencji literackiej, uznawanej za szkodliwą dla ogólnych celów, przez to społeczeństwo realizowanych. Co jednak czyniąc, tym większą za to zachęcało ogół swego piarstwa. U nas natomiast, gdzie ilość czynnych literatów ledwo przekracza parę tuzinów, gdzie ruch literacki staje się z dnia na dzień tak mdły, jak gdyby dogasał — u nas, gdy się karci — to ogółem, hurtem, wszystkich naraz, w zambul! Gdy się atakuje — to szarżą kawalerską, z okrzykami godnymi Old Shatterhanda i szlachetnego wodza Siuksów: „starych do lamusa!“ „Odciać pepowinę!“ „Wyplenić kompleks Zachodu!“

Wynika to zapewne z dziedzictwa tradycji szlacheckich — których brzemie spada i na bogoduchawnych — i z reminiscencji infantylnych. Również z niebyle jakiej megalomanii: że niby „mnie“ nie warto rozprawiać się z jednym tylko X..., czy z X... i Y... Ale jest i przyczyna o wiele pospolitniejsza: nasi zoile, pospół zawodowcy i amatorzy, nie mają czasu ani cierpliwości czytać książek. Oni książki wyciągają.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1 Nie da się zaprzeczyć, że u źródeł dyskusji jest niezadowolenie z naszej aktualnej literatury. Upiaram się na razie przy tym bliżej nieokreślonym pojęciu „niezadowolenia“ rozumiejąc je jako uczuciową dezaprobatę, będącą reakcją na jakiś stan **rozdźwięku** między aspiracjami społeczeństwa*) a literaturą, między tym, czego to społeczeństwo oczekuje od swojej literatury, a tym, co ta literatura mu daje. Różni się ten stan przy tym bardzo wyraźnie jakościowo zarówno od normalnej, prawie zawsze istniejącej niezgodności między jednym a drugim, między dezcyderatami a realizacją, jak również różni się on od takich sytuacji, kiedy literatura jest w świadomym konflikcie ze społeczeństwem, kiedy się przeciwko niemu buntuje.

Wydać mi się, że warto poświęcić wiele uwagi sprzecyzowaniu tych pojęć, ponieważ będące w obiegu sformułowania charakteru i przyczyn tego niezadowolenia są na ogół jednostronne, fałszywie stawiają zagadnienie i wskutek tego prowadzą do kłopotliwych nieporozumień.

Nie ulega dziś wątpliwości, że w tym najogólniejszym znaczeniu niezadowolony z naszej literatury jest nie tylko Borejsza i Ważyk, nie tylko Koft i Kisiel, „Odrodzenie“ i „Tygodnik Powszechny“, Dzikowski i dr. J. P. Zajaczkowski. Żeby to tylko oni! Formulowanie tego niezadowolenia, dziś nagminne, chwilami daje efekty zgola komieczne! Jedna z pań piszących reportażę ankietowała przypadkowego milicjanta w Szczecinie i okazało się, że ów milicjant nie lubi powieści Brandysa**). Jan Koft powołuje na świadka gościa z zagranicy — profesora włoskiego uniwersytetu, który chciał się czegoś dowiedzieć o reformie rolnej, o nacjonalizacji przemysłu, i wyjechał nie do wiedzianyszy się, bo nie znalazł stosownych na ten temat powieści. Wszyscy ci świadkowie mają wyrażać głos czytelnika, vox populi. Ano, skoro tak, mogą oni, mogą więc i ja wyrazić się świadkiem.

2 X... wrócił do kraju po wielu latach, nie wie nic o jego obecnej literaturze. Było to w połowie 1946 r. Przypuszczał, że po przejściu wszystkich kręgów piekła literatura nasza będzie — w doniosłości i głębi problematyki, w kalibrze konstrukcji myślowych, w powadze moralnej, w gwałtowności uczuć — na miarę dantejskiej. Ze pisarze nasi po pro-

tu zapomną o powikłanych sprawach ekspresji literackiej, wyrwani z mikrokosmu psychologicznego, empirycznego, ideowego — i odnajdą drogę do wrażliwości powszechnej, do sumień, namietności i umysłów ogółu. Zdało mi się, że z maniaką perseweracją nie przestaną dociekać jak **tamto** było możliwe, i jak sprawić, aby **tamto** już nigdy nie było możliwe. Roil więc sobie literaturę na miarę przeżyć ogółu, męską, choć może i patetyczną, ascetyczną i gwałtowną, polityczną w najbardziej ludzkim, moralnym tego słowa znaczeniu, wypowiadającą językiem ludzi prostych prawdę ludzi prostych. I oto w drodze do kraju, w wagonie, dostaje paczkę naszych pism literackich. W trzech numerach znajduje długie i zapienione wywody na temat, czy Hertz słusznie użył w przekładzie jakieś powieści słowa orzeszki zamiast fistaszki. Nic nie rozumiejąc, przebiega całe spały to misternie zamaskowanych inwektyw, to najbrutalniejszych porachunków osobistych, Jeszcze mniej rozumiejąc czyta wiersze młodych poetów chłopskich przeznaczone dla chłopów „w żdźbale urodzone“.

Błąka się w tasiecowych rozprawach naszych postępowych krytyków o ambiwalencji niekongruentnych epifenomenów w lirycie Pizyprztykcyjnego. Znajduje essay'e — jakieś ładne, wykrygowane, ondulowane, minoderyjne, grające wieloznacznikiem 1/2—, 1/4—, 1/8 metafory, 1/2—1/4—1/8 myśli, niedomyślonych do końca, kapryśne imbroglia skrótów, skojarzeń automatycznych, koronkowa robotę paranoików, wykwinną zabawę intelektualnych incroyablów — gdy za oknami przesuwa się z wolna potrzaskane ruiny i krzyże.

X... był wstrząśnięty. Potem zawstydił się swego prostackta, powiedział: naiwności prowincjonalnego entuzjasty.

3. Ale dość demagogii. Stefan Żółkiewski naocześnie udowodnił — o ile w tych sprawach można coś udowodnić — że jak na okres tak w literaturze znikomy i na poniesione w żywej substancji straty, literatura nasza dzisiaj — prezentuje dorobek bogaty, artystycznie różnorodny i intelektualnie wcale poważny. Że ma sporo udanych osiągnięć, wartościowych społecznie, że przemysłała i przedyskutowała wiele, że posiada talenty, rozwijające się niemal bezbłędnie. **I to jest niewątpliwe.** Kartując więc katalog trzechlecia nie mamy powodu do niezadowolenia. **Niezadowolone nasze jest zatem niesusne, jeśli się odnosi do literatury jako sumy poszczególnych faktów literackich.** W istocie wynika ono z czego innego i dotyczy czego innego. Będę o tym mówił w wykładzie nieco labiryntowym.

W wypadku X... — pomijając naiwność i nierealność jego oczekiwań i aspiracji, odzwierciedlających zresztą aspiracje społeczeństwa, o których była mowa — wzmiankowane pisma literackie dają mu obraz tej literatury bezwzględnie fałszywy. I tu dotykamy spraw wcale nie białych — zwłaszcza w przekroju planowania życia literackiego — bo ze wszystkich spraw literackich, one dają się najnaturalniej uplanować. Dlatego sądzę, że warto tu mimochodem zgruszać obrysować rzeczy elementarne, ale niedocenione.

Obraz jakiejś bieżącej literatury nie jest tylko sumą faktów literackich (utworów, książek). Powstaje i z faktów literackich, i z ich ugrupowania, z naświetlania jednych i zaciemniania innych, z wprowadzania tej czy innej hierarchii literackich ocen, takiego czy innego wartościowania. Tu jednak działają już nie sami autorzy — twórcy lecz liczna i zróżnicowana grupa — powiedzmy z braku lepszego terminu dyrektorów od literatury: redaktorów pism literackich, dyrektorów wydawnictw (teatrów, radia), polityków kulturalnych. Działają oni raczej biemiennie i zakulisowo i dlatego nie docenia się ich roli.

Wystarczy jednak przypomnieć sobie z niedawnej przeszłości karierę „Skamandra“ i „Wiadomości Literackich“, aby ocenić rolę takiego inspiratora życia literackiego. Czasem decydował on nie tylko o sukcesach grupy literackiej, ale i o samym jej powstaniu, o składzie osobowym, charakterze, kierunku i perspektywach jej rozwoju. Stawał się wyrocznią smaku, modelował styl młodszych pisarzy. Lansował lub eskamotował książkę, „robił“ lub „kładał“ autora. Przyczyniał się do likwidacji całych co niepopularniejszych grup literackich, żeby wspomnieć choćby pierwszą polską awangardę z lat 1920 — 5, która — nie tylko ze względu na pewną niedokrwistość twórczą i prekursorską przedczesność, została tak dokumentnie zmieciana z powierzchni, że nawet sam papież dzisiejszej III awangardy nic o niej nie wie. W mniejszej skali, ale analogicznie do „Skamandra“ rolę odegrała dla lewicy „Dzwignia“ i „Miesięcznik Literacki“ — dziś kompletnie zapomniane przez publiczność naszej lewicy. Nie przeceniam bynajmniej mocy owych dyrektorów, nie chcę prezentować ich jako magików. Chodzi tylko o przypomnienie, że rola ich w modelowaniu i w inspirowaniu życia literackiego i obrazu literatury może być bardzo doniosła. Tym donioślejsza, że w środowisku literackim, szczególnie wśród młodzieży działa pewna nieświadoma emulacja w zabieganiu o dobrą ocenę tej grupy dyrektorów od literatury nie z trywialnych popędów karierowych, lecz ponieważ ci dyrektorzy na ogół usurpują sobie prawo do reprezentowania

czytelników, do przemawiania w imieniu bezwiednego ich ogółu. Należy tu zresztą sprzymierzyć się, że skuteczność i wpływy tych managerów zależne były od tego, czy potrafili oni przechwycić i trafnie sformułować smak, nastroje i wymagania swojej klienteli.

Mój X..., gdy wracał do kraju, przeczytał w czolowych pismach literackich, że największym, jedynym prawdziwym poetą polskim jest Julian Przyboś, a Broniewski jest symplaczk i paseista; że jedynymi prozaikami lat międzywojennych byli Gombrowicz i Bruno Schulz a nad Gójawicyńską ot, tylko ręką machnąć. Więc gdy się uporczywie przez trzy lata winduje na świecznik poetę bardzo wytrawnego ale hermetycznego i estetyzującego, krytyka niewątpliwie bardzo interesującego ale ciemnego i mitologizującego; gdy się przez parę lat trzyma na marginesie literackim Zofię Nałkowską; gdy z okazji przeróżnych nagród nawet nie wymienia się nazwiska Adolfa Rudnickiego, jednego z najgłębszych, na skalę najwyższą, u nas nastawionych prozaików — to nie trzeba się potem dziwić, że powstaje szkoła pisarzy ciemnych i krytyków wiatrologizujących.

I gdy dziś — najgrzeszniejsze z tych pism ocknawszy się, gromi raz po raz literaturę za oderwanie się od społeczeństwa, za formalizm i estetyzm, za niezrozumiałość itd.; gdy potężni baronowie, dysponujący prasą, wydawnictwami książkowymi, pieniędzmi, potępią w zambul pisarzy za społeczną błażość ich tematyki i zainteresowań — zamiast przysypać głowy choć garsteczką popiołu i uderzyć się w pierś — to jest to niewątpliwie scena z komedii pomyłek. — Zapusty niewesołe, bo pomyłki naszych dyrektorów, wynikające czasem z niedostatecznego zorientowania w złożonej problematyce literackiej, z braku koncepcji, albo z braku dostatecznie szerokiej, przemysłowej i co najważniejsza realnej koncepcji literatury — wywierają na pisarzy i na opinię wpływ wybitnie deformujący. Należy o tym pisać szczerze i twardo, są to bowiem dziedziny życia literackiego, które najnaturalniej bez ryzyka nadają się do kierowania.

4. Skoro już mówimy o czynnikach oddziaływania na literaturę, zwróćmy uwagę na inny moment, działający zapewne głębiej. Powieść czy poemat — mówiąc najbanalniej — jest zawsze przygoda o niewiadomych konsekwencjach, nocnym lotem. I jak lotnik podczas lotu nocnego potrzebuje, czy też dawniej potrzebował, sygnału z ziemi, jakiegoś znaku, światła w ciemnościach, podobnie i pisarzowi potrzebne są znaki, które by go „z ziemi“ orientowały, gdzie jest i kim jest. Inaczej mówiąc potrzebuje echa, rezonansu, niezbędny mu jest **określony czytelnik.** Do pewnego stopnia — czystość i donośność echa nastawia jego głos na wyższy rejestr i kto wie czy w pewnym, choćby i niedużym, stopniu uniwersalizm i niekamekralność literatury francuskiej nie wynika z tej okoliczności, że była ona czytana przez cały cywilizowany świat.

Kto naprawdę pisze tylko sobie i muzom? Każdy mówca wie, jak go uskrzydla uwaga, rozumienie audytorium, i na odwrót, jak deprymuje i obniża poziom mówcy obojętność słuchaczy. O wiele mocniej odczuwa to pisarz. Wpływ określonego wyraźnie czytelnika na pisarza — świadomy i nieświadomy, atrakcyjny i repulsywny, bezpośredni i pośredni — jest zupełnie uchwytnym faktem w tej na ogół nieuchwytniej dziedzinie.

Do tej roli orientowania pisarza w przestrzeni i czasie jego oddziaływania powołać jest w pierwszym rzędzie krytyk. Byłoby sadyzmem rozchodzić się na temat ogólnie znanego i opisanego uwiadu krytyki. Mamny kilku wybitnych pisarzy, którzy z okazji książek piszą świetne nieraz essay'e — ale to nie jest krytyka.

Nie winny zresztą zanadto naszych dzisiejszych krytyków. To nie jest najważniejsze, że przeważnie dali się zbałamucić przez tzw. literaturoznawstwo, przez formalizm uniwersytecki, że katalożują wątki i chwytły i obliczają ilość ich kombinacji. Kryzys krytyki jest znacznie wcześniejszy i ogólny. Odkał krytyk przestał być filozofem i ideologiem kultury, od tej chwili pozostała mu znacznie skromniejsza rola: być uważnym i wytrawnym czytelnikiem, a w stosunku do czytelników: inteligentnym komentatorem. Gdy i tych warunków nie spełnia; gdy — a i to czasem bywa — pozbawiony jest smaku i wrażliwości; gdy nadomiar, jak się zdarza, jest odpalonym a więc zgrzytliwym kochankiem belletrów; albo besserwisserem, który czytał Manna czy Valery'ego i na wszystko co jest poniżej, kicha — jak to mówią Rosjanie — z wysokiego pietra, wtedy w najlepszym razie staje się niepotrzebny. Bo jeżeli chodzi o sekrety profesjonalne, to kilkanaście rozrzuconych tu i ówdzie uwag Jastruna, czy parę artykułów Ważyka ma solidniejszą wartość praktyczną niż wszystko, co wypisali na ten temat nasi formalisci.

Ale wróćmy do czytelników. Gdy przed wojną dobra powieść rozchodziła się w 2.000 egzemplarzy, tzn., że miała nie mniej niż 30.000 czytelników.

Zwróćmy uwagę: czytelników wyraźnie określonych, o wyraźnie określonej choć

zróżnicowanej fizjonomii socjalnej. Byli to przeważnie abonenci prywatnych wypożyczalni, głównie, choć nie wyłącznie, tzw. elita inteligentna, ale i młodzież proletariacka, szerokie masy nauczycielstwa itd. Ich smak, ich wyrobienie, ale też i bądź co bądź pewien snobizm i elitaryzm dominującej ich warstwy niewątpliwie wpływał — i dodatnio i ujemnie — na charakter naszej literatury międzywojennej. Oni byli przewodnikami zainteresowań i interesów klasowych. Ich radykalizacja, ich zainteresowania problematyką społeczną, ich ciśnienie społeczne niewątpliwie wpłynęły na zwrot w naszej literaturze międzywojennej od prywatnej niejako liryki pierwszej połowy lat dwudziestych do uspołecznienia tematyki i problemów powieściowych. Ich znajomość wysoko-gatunkowej literatury zagranicznej, którą tłumaczono wówczas lawinowo, do pewnego stopnia zmuszała naszych beletrystów do ciągłego wysiłku, do podnoszenia poziomu.

Ta warstwa czytelników dziś już nie ma znaczenia — przeważnie wyginęła tragicznie lub została rozproszona. Nowego czytelnika jeszcze nie widać. Pomimo znacznie wyższych nakładów, które zresztą obecnie maleją, Czytelnik masowy — najbardziej pożądany — istnieje na razie w imaginacji. Czytelnik obecny nie jest znany, określony, jego oblicze, jego smak jest w istocie zupełnie nie wiadomą. Ustawa biblioteczna nie jest realizowana. Pisarzowi nie odpowiada żadne echo, nic, z wyjątkiem zgrzytania zębów zoilów. Toteż często głównie dla nich pisze, dla kilku czy kilkunastu profesjonalistów, jedynych konkretnie uchwytnych i znanych mu czytelników. Stąd między innymi przyczynami słabe natężenie jego głosu, jego kamekralność. To jest jeden z poważnych aspektów owej „izolacji“ pisarzy, o której się tyle pisze, z której ukuto broń przeciwko nim. Należy tę broń uczynić obosieczną. Póki społeczeństwo będzie się izolować od pisarza, póki nie będzie **określonego masowego czytelnika** o wyraźnej fizjonomii kulturalnej i społecznej, póty piarstwo nasze w swoim ogóle będzie istniało w próżni i izolacji.

5. Wyliczając — raczej na marginesie moich właściwych rozważań — czynniki wpływające na pisarza, napomknę też o roli środowisk literackich. Byłoby truizmem podkreślać ich wpływ zwłaszcza na młodzież. Jest to w pewnym sensie pole magnetyczne, w obrębie którego literat przeważnie działa.

Nasze środowiska literackie, przed wojną scentralizowane w Warszawie, po wojnie formowały się nienaturalnie, przypadkowo, zależnie od tego, gdzie kto się znalazł i osiadł. W ten dość przypadkowy sposób — mimo wszystko — Kraków stał się ośrodkiem literackiego formalizmu i myśli katolickiej, a Łódź — kuznią literackiego radykalizmu. Nienaturalność, przypadkowość uformowania się naszych środowisk literackich nadaje im pewien mniem lub więcej uporczywy nałot klikowości i prowincjonalizmu i sprawia u najmniej odpornych pewnego rodzaju oportunistyczną mimikryzację ideową, to co się nazywa uleganiem presji środowiska.

Ale nie o to chodzi. Wróćmy do rzeczy.

6. Teraz wypadnie mi pomniejszyć znacznie i proporcje powyższych wywodów. Zaden z wymienionych czynników: ani błędy dyrektorów od literatury, ani brak krytyków, ani nawet brak określonej warstwy czytelników, ani nienaturalność środowisk nie są przyczyną sprawczą tego stanu rozdźwięku między literaturą dzisiejszą, potraktowaną globalnie, a społeczeństwem. One tylko mogą ten rozdźwięk pogłębić lub osłabić, uwytklić lub zamaskować. Przyczyną tkwią głębiej i nie dadzą się potraktować inaczej, niż w związku z ogólnym kryzysem tego, co nazywa się potocznie świadomością czy nawet współczesną kulturą europejską.

Niech mi wolno tu będzie nakreślić potrzeby do niniejszych rozważań opis paru momentów kryzysowych. Będzie to niewątpliwie obraz jednostronny. Co gorsza, oderwany od głębszych spleceń i przyczyn historycznie warunkujących, polityczno - społecznych i gospodarczych. Ale te, niestety, wykraczają poza moje właściwe kompetencje. Jeżeli jednak wazę się na podjęcie tej problematyki, to czynię to ośmielony licznymi wzorami dawnych a przecież nieprzedawnionych, choć oderwanych od tła społeczno-politycznego rozważań na temat kultury.

Chodzi mi przede wszystkim o podkreślenie synkretycznego charakteru naszej kultury. Żadna epoka, najbardziej „aleksandryjska“, nie była wystawiona na tak szeroki synkretyzm, na takie współistnienie i przemieszanie wielorakich wyobrażeń, pojęć, teorii, doktryn, wierzeń, etyk i stylów, nieraz sobie przeciwstawnych. Żadna chyba nie była obciążona taką ich sumą. Nie przeszła tak daleko posuniętego procesu dezintegracji obrazu świata i osobowości. Nie wklęła się w tytu sprzecznościach i paradoksach. Nie sądzmy, że sprawy te obchodzą tylko filozofów. Istnieje przesączalność myśli i wyobrażeń, choćby najbardziej abstrakcyjnych i hermetycznych. Przesiaka ją one do świadomości ogółu, a już szczególnie pisarzy. Niemal z powietrza epoki. Genetyk znajduje w nas wyrażone w ułamkach dziedzictwo so-

*) Por. Kuźnica z artykułami Jastruna, Żółkiewskiego, Bédnarczuka, Hertz, Ważyka, Stawara i Odrodzenie z artyk. Kotta „Zoil“.

**) Używam w tej pracy, nie mającej zresztą ambicji naukowych, słów takich jak „społeczeństwo“, „literatura“, „prawda“, „życie“ itp. w potocznym ich znaczeniu bez zróżnicowania na klasy i rodzaje.

**) Obyżto wszyscy milicjanci! Niech go nie tu, ale niech czytają!

matycznych cech dziadków i praocjów, co zresztą nie narusza jedności naszej osobowości. Genetyk myśli, wyobrażeń i uczuć znalazłby w nas fragmenty światopoglądów, cywilizacji i kultów, najbardziej odległych historycznie, w stanie chronicznego skłócenia, w dodatku rozsadzające naszą osobowość duchową.

Doktryny i teorie, zarówno ogólne jak i szczególne — np. freudyzm, bergsonizm czy relatywizm — przesączając się do świadomości pewnego ogółu, ulegają oczywiście — różnie w różnych warstwach — deformacji, być może nawet stałym prawom deformacji — ale nie ostatecznie do potencjału wzajemnego ich skłócenia. Dzieje nowoczesnej świadomości europejskiej, w tym aspekcie widziane — to obraz gromadzenia wielorodnych, skłóconych elementów oraz dramatyczne próby wprowadzenia ładu, znalezienia organizatora, scalenie pokruszonego obrazu świata.

Szczególnie trudna jest tu rola pisarza, który wydany jest na wszystkie ryzyka nieskoordynowanej myśli, przeszedł przez najkonsekwentniejsze rozbicie osobowości, przez relatywizację pojęć i metafor, odbył nihilistyczne podróże do kresu nocy, zbyt często zdany wyłącznie na acheront podświadomości, na domiar stracił zaufanie a czasem i nabrał wstrętu do słowa, na domiar nie potrafi — i nie powinien pod groźbą paraliżu twórczego — przeprowadzić syntaktycznej analizy swoich koncepcji. Na domiar nie umie się oprzeć pokusom formy, wszelkiej formy! Wiza świata, którą sobie wypracuje z największym mozolem, forma, w której ją odtworzy, noszą wszystkie cechy niejednorodności i skłócenia. Duży to dla niego postępek, jeśli staje się peryfrazem zdecydowanej i określonej ideologii, ale tylko naiwni outsiderzy mogą przypuszczać, że po roku, po dwóch, trzech, po kursach uświadamiających zdola zorganizować sobie swój świat wewnętrzny i uporządkować rupieciarnię swoich środków pisarskich.

Ten opis — poza wszystkimi już poprzednio poczynionymi zastrzeżeniami — nie jest generalny. Ale odnosi się do dość rozległego obszaru tego, co we współczesnej literaturze jest literacko wykwalifikowane i ambicyjne.

7. Na tym tle uwypuklają się pewne krańcowe typy postaw w stosunku do kultury, które tu dla dedukcji moich wniosków zaprezentuję:

Włec antykwariusz. Jest stary. Czasy go o tyle odmieniły, że „pojął się już w swoim jestestwie”. Zbiera wszystko. Fragmenty różnych stylów i epok. Tłumaczy z upodobaniem równocześnie „kwiatki św. Franciszka”, „Zaretustre”, „Upaniszady” i „18 brumaire’a”. Przeglądając historię kultury z politowaniem myśli o ubóstwie sryrzejczyka Hellobala, który miał w swojej kaplicy posągi tylko Abrahama, Orfeusza, Chrystusa

i Apoloniusza z Tyany. Jego umysł jest bogatą musterkolekcją komiwojażera cywilizacji. Jest do szpiku esteta, szczególnie gdy przeciw estetyzmowi bluźni. Nigdy nie zdobędzie się na kierkegaardowskie „albo — albo”, ewangeliczne „tak tak — nie nie”, choć często je cytuje. Wbrew pozorom nie jest chwiejny, nie zatrzymuje się na rozdrożach. Rozdroże jest uświadomieniem sobie konieczności wyboru, jej aprobatą a priori, niezależnie od tego, jak długo się stoi na rozdrożu, dzień czy całe życie. Chwiejność jest cechą prywatną, jest brakiem jakiejś niezbędnej decydującej przesłanki. On zaś cierpi na nadmiar przesłanek. Stracił już dawno smak, zmysł, nawet ośrodek mózgowy wyboru. Wojna dopełniła tego dzieła zniszczenia — w sztukameryze jego świadomości zdruzgotała gipsowe eksponaty — leżą obok siebie pomieszane już nie style nawet, ale ich prochy i obtamane fragmenty.

Spec jest jego odmianą młodszą, jest jego synem z nieprawego łoża, choć się wzajemnie wypierają. Wydaje mu się, że wyskoczył z głowy bogini Techniki. Rozwijał się w miarę wysubtylizowania instrumentów kultury, chwytów i sekretów profesjonalnych. Z warsztatu zrobił sobie ołtarz, gdzie uwiebił dobrą robotę, majstersztyk. Interesuje go jak, obojętne mu co. Toteż najłatwiej mu współzłżyć z filozofiami instrumentalnymi. Bywa czasem pedantem, czasem nawet profesorem literatury — gdy antykwariusz był zawsze dyletantem. Wytworzył pewien system aluzji, znaków języka i mimiki, komunikatywny tylko dla takich jak on speców. Czasem dysputa ich przypomina znaną scenę z Panurgiem.

Ma ambicję, aby do tych symboli dodać parę już zupełnie własnych, których i tamci nie rozumieją — i ta ambicja czasem mu starczy na całe życie. Działa tu zapewne analogia do nauki. Jest to jak z odczytem Diraca w nauce — fascynuje go zresztą technologia nauki. Jest to jak z odczytem Diraca na międzynarodowym zjeździe fizyków w Warszawie, o którym nieboszczyk Winawer mówił, że tylko trzech ludzi na świecie zdola go zrozumieć, a i to nie jest pewne.

Ze specie, technicy i formalisci zadawali ton naszej literaturze w pierwszych latach powojennych — to nie było tylko z braku zorientowania u redaktorów. Po prostu specy są zawsze na pododrodziu, specem żadne przewroty polityczne nie sprawują trudności. Gdy na ostrych zakrętach historii pisarz światopoglądowy może się wykołocić, a co najmniej ma do przejścia nielata dla niego drogę od ideału do jego realizacji, od buntu do afirmacji, od słowa do ciata, spec nie obarczony treścią światopoglądową gotów jest od razu przyjąć — szczerze, lojalnie i w porządku ze sobą, mówić to bez ironii, nowa

treść ideową, właśnie dlatego, że jest formalistą. Nie mówię tego w sensie pejoratywnym, nie jest to źle, ani dla specy, ani dla rzeczywistości, której służy. Przeciwnie,

Dla uniknięcia nieporozumień podkreślam, że piszę tu o typach postawy wobec kultury, a nie o typach pisarzy. Czystego typu specy zapewne nie mamy w naszej literaturze, ale „specostwo” w różnej — najmniejszej, malej i większej domieszce — znajdujemy u wielu. Kiedy — dla krańcowego przykładu — głęboko wierzący katolik Wojciech Natanson tłumaczy sztukę Camusa „Kalię”, bezwarunkowo antychrześcijańska i amoralna; kiedy Zoil, Jan Kott, wielki inkwizytor naszej literatury, młot na Conrada, Pawła Hertzę i Brandysa, tłumaczy Sartre’a lub zachwala jako wzór dla młodych pisarzy dialog Diderota o prawie obywatela do samogwałtu, pederastii i sodomii — to czyż to nie jest przejawem specostwa, rozsmakowania w dobrej robotce? Mówię o tym z żołą, bom smutny i sam nie bez winy.

Żeby zakończyć portrecik, chcę dodać, że i specostwo w literaturze jest uchylaniem się od wyboru. To jest istotny eskapizm, o który najniebezpieczniej posadza się u nas Iwaszkiewicza lub choćby Franza Kafkę, twórcę algebraicznej, ale jednoznacznej wizji współczesnego świata. Gdy jednak okoliczności życiowe zmuszają do prostych odpowiedzi, wtedy nasz technik gotów i temu sprostać. Bo on rozporządza udoskonalonymi instrumentami również w dziedzinie przystosowania się do warunków. Staje się nie pisarzem upolitycznionym, ale politycznym działaczem w literaturze. Pisarz choćby najbardziej upolityczniony musi rozplątać supię, gdy politykowi wystarczy jej przeci-nać.

8. Oprócz tych paru momentów — dla naszych celów, które są wyłącznie opisowe i analityczne i nie mają pretensji do syntezy — wskażmy już tylko szkielet na podstawowy nurt cywilizacji europejskiej — nurt prometejski i faustowski, jak go na ogół nazywają — badawczy, krytyczny, antydogmatyczny, wielokrotnie zresztą opisywany, tak obrazowo sformułowany w znanym liście Lessinga: gdyby mi Bóg dał do wyboru, albo natychmiastowe definitywne poznanie absolutnej prawdy, albo drogę do niej, nieskończenie długą, pełną omamów i potknięć, wybrałbym bez wahania to drugie. Nurt ten stworzył nowoczesną naukę i kwestionuje ją;

PAWEŁ HERTZ

W KORKOWYM POKOJU

Z NOWO O PROUSCIE. Dwa powody skłaniają mnie do napisania tego krótkiego felietonu. Pierwszy — to dzień 18 listopada 1947 roku, dwudziesta piąta rocznica śmierci autora „Czasu odnalezionego”. Drugi — to zdanie niedawno przeczytane w pewnej kronice francuskiej pewnego warszawskiego tygodnika literackiego. „Świat Prousta nie jest światem interesującym człowieka dzisiejszego. Jest to świat arystokratyczny, wykwinny, świat problemów indywidualnych”.

Spóźniłem się o kilka miesięcy z aktualnym felietonem rocznicowym. Byłem zajęty. Czytałem pilnie po raz nie wiem który kilkanaście tomów komedii ludzkiej Marcellego Prousta. Kronikarz, którego cytowałem wyżej, nigdy pewnie nie zadał sobie tego trudu. Otworzył może jeden, drugi tom, znalazł nazwiska diuków i hrabiów, opis porcelany i sreber, należących do Verdurinów, porównanie lokajów w przedpokojach pani de Sainte-Euverte do postaci z obrazów Sodomy, uwierzył wreszcie w naiwny sąd tych, którzy dzielą literaturę według jej tematyki. Czy pamiętniki St. Simona pokazują świat bardziej interesujący dzisiejszego człowieka? Co dzisiejszego człowieka może obchodzić „Fedra”? Po co oglądać Bouchera? Czy nie uważacie, że dworski Mozart powinien co rychlej umilknąć na wszystkich koncertach?

Nieporozumienie z Proustem wynika z najbardziej niebezpiecznego stosunku do spraw literatury, jaki może istnieć właśnie w okresach, gdy od dawna nasiąka kulturą, szczerza jak lis we wszystkich zawiłych tropach sztuki, wydelikacona i wrażliwa na smaczki warstwa społeczna odchodzi, przekazując, nie z własnej bynajmniej woli, wszystkie swoje składy materialne i duchowe, warstwie nowej i młodej. Ten najbardziej niebezpieczny stosunek do literatury w takich właśnie okresach, to stosunek wulgaryzatora i demagoga.

Proust jak nikt inny może nadać się do tego, by krytykować go demagogicznie i komentować wulgarnie. Jeśli z jego dzieła usunąć wszystkie komentarze, pozostałaby mało zajmująca intryga i sztafaż arystokratycznego salonu — taki sam, jaki znaleźć można w powieściach Feuilleta. Kto śledzi akcje w piętnastu tomach Prousta i opuszcza komentarze, ciągnące się przez setki stron, ten nie z tych tomów nie rozumie. Jeśli po takiej lekturze dojdzie do przekonania że „świat Prousta... jest to świat arystokratyczny, wykwinny...”, będzie miał rację. Rację krótkowidza.

z niego wywodzi się wielka krytyka społeczeństwa Marksa i on wynaturzył się w obłęd nie-tscheańskiego amoralizmu, w antyintelektualizm bergsonizmu, w filozoficzny relatywizm.

Stworzył wielką prozę realistyczną i ze wstrętem ją druzgocze. Wytworzył i wysubtelnił technikę sceptycyzmu, metodykę ironii, dialektykę komplikowania. I oto z całą tą trudną spuścizną pozostało się na drodze, która chce być jak najdalej od mety, niekoncząca się drogą, pełną omamów i potknięć.

Znowu podkreślam, że opis ten jest przekąskawiony i raczej nie charakteryzuje twórczości wielu naszych czołowych poetów i prozaików. Ale jest to opis tych momentów i tendencji, które — uświadomione i nieświadomione, z wyboru i wskutek przesączalności — tworzą „ambiance”, naturalny ośrodek działania literackiego, pewien ogólny dla literatury układ odniesień. Nie wystarczy go „nie uznawać” lub negować. Trzeba go z ogromnym wysiłkiem i, niestety, z ograniczonym powodzeniem powołać przewidywać.

9. Jeżeli teraz z kolei przejdziemy do „życia” w potocznym tego słowa znaczeniu, a więc — dia uproszczenia — do polityki, która dziś jest życia mistrzynią i nerwem, to obraz będzie tu tak odmienny, jakby z innej pochodził planety.

Postępująca polaryzacja podzieliła świat i życie na dwa zdecydowanie antagonistyczne i bez pardonu zwalczające się ołdmy. Jak to niedawno z nieodpartą konsekwencją sformułowało: świat się rozbił na obóz demokratyczny antyimperialistyczny i na obóz imperialistyczny antydemokratyczny. One realnie nie ścierpią nic pośredniego, nic trzeciego. Wszystko tu jest zdefiniowane i zdefiniowane jednoznacznie, i jednostce nietrudno określić swoje w tym układzie miejsce — przyspieszony bieg wypadków, ich siła fatalna pcha do wyboru. Wszelka dwuznaczność polityczna w dramatycznej sytuacji, w jakiej świat się znalazł — staje się po prostu oszustwem! Tu trzeba wybierać: albo — albo. Z nieubłaganą logiką działa tu formuła: „kto nie z nami, ten przeciwko nam” — natury łagodne, kompromisowe, ludzkie środka mogą nad tym załamywać ręce, ale nie ma na to rady. Jesteśmy bowiem — nie tylko z sytuacji geopolitycznej, ale z przelomu, który się dokonał w latach wojny i martyrologii — społeczeństwem wyznawców

i w tym jest nasza siła i walor w zestawieniu np. z narodami Zachodu. Odnosi się to zresztą do całego naszego społeczeństwa, zarówno po lewej jak i po prawej stronie — co mnie upoważnia do postugiwania się — w stosunku do sprawy, przeze mnie poruszonej — niezróżnicowanym pojęciem społeczeństwa tout court.

10. Zestawcie teraz te dwa obrazy, obraz kultury, skromnie mówiąc literatury, i obraz tzw. życia — czy nie uderzy was już nie kontrast, ale jakaś rażąca dysonansowa odmienność, niewspółmierność stylów? Tu prosta założeń i przyczyn i przejrzysta architektura wniosków i skutków, — tam nieuporządkowana gmatwanina sprzeczności; tu redukcja do podstawowych rozstrzygnięć — tam komplikacjonizm i walenie; tu skoki rewolucyjne — tam nie dająca się rozplątać siatka powiązań tradycyjnych; tu zasada wyłączonego środka, tam logika wielowartościowa; tu siła nieodwracalna zmian — tam stałe nawroty, przerysowania itd. itd. Najbardziej podstawowe rzeczy np. czas w jednej i drugiej sferze mają zupełnie odmienny sens, kierunek i rytm; procesy, powstałe z tego samego impulsu społeczno-gospodarczego mają zupełnie inny wymiar i wykres. Stąd tak liczne nieporozumienia, gdy w dyskusji między pisarzami a politykami używa się słów, często rozumianych odmiennie przez dyskutantów.

W tym to właśnie nieprzystosowaniu stylów tych dwóch sfer, o wiele silniejszym niż kiedykolwiek w historii, w dysonansowej różnicy ich charakteru upatruje najistotniejszą trudność i przyczynę niezadowolenia społeczeństw współczesnych z ich aktualnych literatur. Konieczność ostrej zmiany stylu i duchowego nastawienia, gdy się ze sfery życia przechodzi do sfery literackich doznań, wytwarza nawet u nas, ludzi typu raczej schizofrenicznego — owo przykre uczucie arytmi i rozdwójenia, które z braku lepszego terminu nazywam tu niezadowolaniem. I nie ma, tak mi się zdaje, widoków, aby w ogólnym wymiarze (wszystko to nie odnosi się do poszczególnych dzieł i autorów) ten stan rzeczy miał się radykalnie odmienić. Mogą się te sfery do siebie przystosowywać, ale na ogół nie mogą w bieżącej historycznej fazie odmienić się zasadniczo. Nie różny sobie złudzeń. Złudzenia są szkodliwe. (Koniec części pierwszej).

Aleksander Wat

późniejsza diuszesa de Guermantes nie chce bywać u księżki Jena, których tytuł pochodzi od Napoleona — to fakt ten możemy komentować podwójnie. Obruszyć się, jak to czynią wulgaryzatorzy, na nieważność takich zagadnień dla „człowieka dzisiejszego”, lub odczytywać cierpliwie jak proponuje Lefebvre właściwy tekst heraldycznych wywodów diuszesy de Guermantes. Papier, na którym wydrukowano książkę Prousta jest cierpliwy — można go na marginesach pokrywać uwagami rozmaitego kalibru.

Świat Prousta jest martwy, ale tylko pozornie. Autor świadomie taki świat skonstruował. Życie prawdziwie przesuwa się chyłkiem i dociera zaledwie do przedpokojów salonu pani de Sainte-Euverte, do stopnia powozu, gdzie Swann poprawia bukiet storczyków niedbale przypięty u gorsu Odety. Życie prawdziwie reprezentują w powieści Prousta ci wszyscy, którzy stoją poza zaklętym kręgiem renty. Lokaje, stangreci, stara służąca Françoise, kelnerzy, maitre d'hotel w Balbec, windziarz hotelowy — ci wszyscy ludzie żyją, zarabniają, przyjmują napiwki, oddają usługi i pewnie dlatego wiedzą o świecie więcej niż państwo Verdurin, Odeta, Swann czy pan de Norpois. Zetknięcia ze światem odbywają się poprzez tych ludzi. Stangret Swanna, który szuka Odety w paryskich restauracjach, wie więcej i lepiej o Swannie niż on sam. „Zdaje się, że nie ma pan już po co szukać” — mówi stangret, wiedząc z góry, że wyobrażenie Swanna o Odecie nie odpowiada Odecie realnej. W książkach Prousta, jak może w żadnym innym dziele literackim, pokazano nam krąg ludzi oddzielonych od świata zdarzeń, ludzi, którzy dzięki posiadanym środkom, sami sobie rzekomo konstruują los, nie oglądając się na prawa rządzące światem.

Ostatnie dwa tomy cyklu, nigdy nie tłumaczone na polski, noszą tytuł „Czas znaleziony”. I te dwa właśnie ostatnie tomy, które nazwałbym fugą olbrzymiego preludium, pokazują nam jak psychologiczny czas poszczególnych bohaterów przemienia się w czas historyczny każdego z nich i całej tej grupy do której należą. Ten tragiczny finał wszystkich radości i cierpień kunsztownie i rozwiłkle opisanych w trzynastu tomach odsłania nam dokładnie mechanizm losów wszystkich bohaterów. Nikt tu nie został oszczędzony, wszystkich wyszydził czas, bowiem wszystko co czynili i myśleli — czynili i myśleli poza światem spraw ludzkich. Wszystkie postaci wielkiego cyklu zmierzają ku śmierci. Kiedy „Ja” książki spotyka po latach którąś ze

swich znajomych, która porzucając jedną wizytę, biegnie na drugą — stara już i pomarszczona — wypowiada wówczas zdanie, jakie zastosować można do wszystkich bohaterów cyklu: „Wyglądało to tak jak by biegła ku śmierci”.

Tragiczny finał wydaje mi się najbardziej upoważniający do uznania proustowskiego cyklu za dzieło moralne, w tym znaczeniu, w jakim odróżniamy we francuskiej literaturze dzieła moralne — czyli takie, które nie skrywają przed nami prawd najbardziej gorzkich i trudnych.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Ludzki krajobraz „Lata” Adolfa Rudnickiego

FORMA w jakiej dotychczas ukazywały się utwory Adolfa Rudnickiego, nie ułatwiała zadania krytykowi. Pojawianie się pojedynczych jego opowiadań w postaci oddzielnych broszur, z których nigdy nie było wiadomo, czy ostatnia, jest ostatnią także w sensie zamknięcia jakiegoś cyklu, czy nie dojdzie i nie pojawi się nic już więcej — wstrzymywało recenzenta przed jakimkolwiek, podsumowaniem, sprawiło, że pióro gdy za nie chwycił, nieraz z głębokim poczuciem wewnętrznej potrzeby mówienia o tak niezwykłym zjawisku, jakim jest proza Rudnickiego — zawisało w powietrzu.

Dzisiaj wiadomo już wreszcie, że większość powojennych utworów autora „Czystego nurtu” wejdzie w skład przygotowanego przez Sp. Wyd. „Książka” tomu pt. „Szekspir”. Wiadomo z grubsza co do tego tomu nie wejdzie. Można rozpocząć jakąś rozsądną gospodarkę grupującą to bogactwo. Z tego, co się w „Szekspirze” nie znajdzie, w całość odrębną dadzą się zamknąć rzeczy żołnierskie: „Wrzesień” wraz z oddzielnym drukowanym na łamach „Kuźnicy” zakończeniem o kapitulacji Modlina, wkrótce pojawi się mające wznowienie „Żołnierzy” oraz wydane niedawno „Profile i drobniaki żołnierskie”. Odrębną natomiast pozycją wśród utworów jakie wyszły na nowo po wojnie, — jest „Lato”.

Wiele opowiadań Rudnickiego mówi, częściowo lub całkowicie, o rzeczach, które w sposób tragiczny przeszły nagle do zamierzonej historii, rzeczach, które skończyły się nagle, już nie istnieją. Na ogół jednak zarówno czas napisania tych utworów, jak i wynikająca z powstania w tym czasie ich kompozycja wiąże to co było z tym co jest, choćby eksploatując prawa kontrastu. „Lato” jest książką bardziej niż inne zamierzchną, bardziej historyczną, choć dotyczy lat, które wszyscy pamiętamy, czasem wydaje się, że powstało w innej epoce geologicznej, tak wielkim wydaje się dziś dystans dziesięciu lat dzielący nas od czasu jej powstania. Stanowi całkowicie podróż w sferę zjawisk, których już nie ma.

„Lato” jest dziwną i niezwykłą — tak jak dziwne i niezwykłe są wszystkie książki Rudnickiego, niby gniazda jaskółek zlepione pozornie z byle czego, a jednak celowo, pięknie i trwale — opowieścią o przedwojennym Kazimierzu nad Wisłą. Tylko jeden rozdział przenosi nas na drugą stronę i kilkadziesiąt kilometrów w dół rzeki, będąc relacją z wizyty autora w Górze Kalwarii. „Lato” jest więc książką o krajobrazie. Ale w bardzo małym stopniu mówi nam ona o krajobrazie zielonych wzgórz, który niewiele zapewne zmieniony, pozostał, nawet mimo walk jakie miały tu miejsce jesienią i zimą 1941 r. „O zamek królewski jestem zupełnie spokojny, o „strzelnicę samotną z murami 5 łokci grubymi, zwaną basztą”, również. Nie doznaję niepokoju, gdy chodzi o kościół farny, kościół św. Anny, kamienicę św. Mikolaja, kamienicę św. Krzysztofa, o kamienicę Ceiejowską, rzekę, wąwozy, jary, góry i doły” — pisze Rudnicki. Niepokojem swym ogarnął autor przede wszystkim krajobraz ludzki. Dziś wydaje się to niemal prorocze.

Mówi się w „Lecie” zasadniczo o dwu kategoriach ludzi: letnikach i autochtonach, ale podział taki jest bardzo niedokładny. Chcąc być dokładnym należałoby wymienić bardzo wiele postaci, zupełnie różnych, z których każdej używa autor swej uwagi, z których każda bądź jako indywidualność, bądź jako typowa odmiana, ludzkiego gatunku, staje przed nami ożywiona piórem wspaniałego artysty, jakim jest Rudnicki. Mało jest osiągnąć tak niezrównanych w swej płaszczyźnie jak ten ludzki krajobraz w utworach autora „Lata”.

Kazimierz nad Wisłą był w czasach międzywojennych miejscowością, do której zjeżdżały każdego roku tłumy letników — w znacznej większości Żydów. Samo miasteczko, pomniejszając garstkę rybaków nad brzegiem Wisły, również nie tylko we wspomnieniach żyło tradycją praw, jakie przysłał w nim niegdyś współwyznawcom wybranki swego serca ostatni z Piastów. Podkreślano często, że Rudnicki odmalowując ekskluzywne środowisko żydowskie, jest w języku polskim pisarzem niemal egzotycznym. Pojęcie egzotyki — w stosunku do najbardziej nawet odrębnego, ale współżyjącego z nami w tych samych miastach śródlądowych jest raczej metaforą. Ale Kazimierz nad Wisłą — połączenie ciekawie bujnej przyrody, historii wdzięczącej się i nieprawdziwej jak teatralna dekoracja i tłumy, który przywykliśmy widzieć w oprawie szarżowny najuboższych dzielnic Warszawy czy Łodzi — był na pew-

Proust zamieszkał w korkowym pokoju po długim życiu spędzonym wśród ludzi, których opisał. Bez trudu odszukamy w historii obyczajów Paryża z końca wieku wzór dla salonu Verdunów i dla przyjęcia u Guermantesów. Ten świat nie jest bardziej egzotyczny niż świat Saint-Simona. Jest to świat historyczny. Jeśli ktoś sądzi, że jest inaczej, to dlatego, że sam siedzi w korkowym pokoju, zamkniętym na zardzewiały klucz rutyny i nieumiejętnej interpretacji dzieła literackiego. Jan Kott, z którym nie podejmuję się spierać w chło-

rze, bowiem tekst naszych modlitw o literaturę nazbyt się różni od tekstu między książek, które obaj cenimy, napisał niedawno w zakończeniu swojego studium o „Lalce” niewielką dygresję na temat filiżanki. Ponieważ są to zdania napisane wykwintnie, ba, arystokratycznie nieomal, więc pasują do opinii o Prouście jak ulał: „Piję herbatę z filiżanki, na której granatowy pas otoczony jest dwukrotnie kunsztowną, złotą koronką, inkrustowaną w porcelanie. Jest to typowy „stary Berlin”. Z tej to właśnie filiżanki — mówi Kott —

chcę odtworzyć życie mieszczaństwa niemieckiego przed stu laty”. Podziwiałbym historyka sztuki, który w serwisie do herbaty dostrzeże portret niemieckiego filistrza.

W dwudziestopięcioletniej śmierci Marcellego Prousta stawiam przed czytelnikami cały serwis. Piętnaście tomów cyklu. Zapewniam, że można się niejednego dowiedzieć z tych filiżanek o pokretnych wzorach. Oglądajmy je uważnie i dokładnie, uważając jednak, aby się nie stłukły.

Paweł Hertz



Adolf Rudnicki

no egzotyka, jedyną w swoim rodzaju. Celem prawdziwej literatury jest jednak nie egzotyka a człowiek, ukazanie jakiejś wspólnoty spraw ludzkich, przebiecie się przez skorupę odmienności barwy skóry, stroju, obyczaju. Dlatego przeciętna, poprzestająca na egzotycznych odmiennościach literatura przędź jest w hierarchii trwałych zdobyczy literackich uważana na ogół za towar tani. Jasne, że Rudnicki nie jest wcale pisarzem egzotycznym tj. poprzestającym na zewnętrzności, ale pisarzem ludzkim, sięgającym poza nią. Z nieistniejącego już dziś egzotyku dwu miasteczek nad Wisłą wydobyl głębszą, ludzką, zrozumiałą dla nas i w ogólnie obowiązującym języku uczuć wypowiedzianą prawdę.

„Lato” jest książką smutną i pesymistyczną, jak czas w którym powstała. Nieprawdą jest kolorowe miasteczko, teatr natury i historii. Prawdą są rzeczywiście tragedie i troski zarówno tych, których los przywiał do tego miejsca jak i tych co tu przyjechali, aby o swoich tragediach i troskach nie myśleć, aby spędzić tu czas na nerwowym szukaniu ucieczki i zapomnienia o swym prawdziwym życiu.

Chcąc podkreślić humanizm Rudnickiego, jego pełen zaciekania i tkliwości stosunek do wszystkiego co skrzywdzone, schorzałe i słabe, pisano, że jest on autorem pełnym miłości i zrozumienia dla wszystkiego, co ludzkie i że budzi w nas sympatię do wszystkich istot, które opisuje i których życie nam odsłania. Wydaje mi się, że popełniono tutaj pewien błąd. Osobiście byłbym zdania, że Rudnicki jest raczej, podobnie jak wielu pisarzy pesymistycznych, pisarzem okrutnym. Uczucie, jakie budzi większość jego postaci, to uczucie litości, uczucie niedobre. Nie wynika z niego aprobaty postępowania jego bohaterów, aprobaty sposobu w jaki reagują na swój los. Twórczość Rudnickiego, mimo, że nie odmawia niekiedy ciepłego współczucia dla istot słabych, jest oskarżeniem, czasami nawet samooskarżeniem, gdyż siebie nie wyłącza autor z kręgu ludzi bezradnych jakimi z reguły są wszystkie jego postaci.

Czy jest to oskarżenie ludzkiego losu w ogóle, czy określonego układu stosunków? Wydaje mi się, że tajemnicą powodzenia filozofii Rudnickiego i bezwzględne uznania jego twórczości również wśród przeciwników socjologicznej interpretacji ludzkiego losu, jest, oprócz zalet artystycznych, także i to, że Rudnicki zachował w dużym stopniu nawet i w późniejszych swych utworach pozory, iż ocenia człowieka, niezależnie od świata, który go otacza. Cóż mają pozornie wspólne z dialektyką, walką klas, marksizmem, chimerami nieszczęśliwych i obłąkanych biedaków w nadwiślańskim miasteczku, weltschmerz nerastenicznych inteligentów pragnących naprzód przy pomocy jego urody, którą szybko przestają w ogóle dostrzegać, — wyzwolić się z tragicznej, wewnętrznej pustki? Czy ciepła litość jaką otacza Rudnicki fizyczną a nieraz i moralną brzydotę życia nie jest przeniesieniem walki wypowiedzianej znu, w rejon od człowieka niezależne, uznaniem wszechwładzy czynników o wiele od niego potężniejszych? Czy nie tu ma swoje źródło owa smutna bezradność jego postaci w obliczu ich losu?

Potwierdza to złudzenie fakt, że Rudnicki nigdy prawie nie ukazuje nam winowajców w postaci ludzkiej. Nie jest winien kąpiący się na ustroniu chasyd, że ma ciało budzące odrazę, nie jest winien rybak, który nie ratuje tonącego obok letnika w obawie utraty ułowanego pstrąga: jego wyobraźnia nie ogarnia tych zjawisk. Nie ma właściwie w „Lecie” oskarżenia piaskiej zmysłowości znuzonych stadł szukających okazji do niewierności. Nie jest w gruncie rzeczy wi-

nien nawet „śmieszny pan Salo”, że po głowie mu chodzą najrozmaitsze, fantastyczne pomysły na temat sposobów nieuczciwego wzbogacenia się i że za jego podszeptem burmistrz wsadza do aresztu chłopca, który mu „psuje interes”. Winni są jak gdyby wyżej. W kręgach nie objętych bezpośrednią obserwacją pisarza, człowieka, przypatrującego się jedynie życiu, nie biorącego w nim osobistego, czynnego udziału, który by mu kazał potępić jednych, a opowiedzieć się za drugimi, zająć pozycję w walce, określającej przecież każdy los ludzki — największy i najmniejszy.

Ale ten obraz — obraz pisarza, zajmującego stanowisko outsidera w ocenie wysiłków ludzkich jest na pewno obrazem pozornym. Perspektywa i dystans, z jakiego patrzy Rudnicki na te wysiłki nie wyłącza go od sądu o nich a jego dyskretna powściągliwość jest tylko miarą artysty pisarza. Nie ma człowieka poza społeczeństwem, poza społeczną walką. Nie ma pisarza, który by nie zajmował stanowiska, nawet wtedy, gdy jako artysta z wahaniem stawia każde słowo rozdziałające blaski i cienie w świecie jego fikcji. Czy „Lato” choć nie wymienia głównych oskarżonych, choć ukazuje nam same tylko ofiary w krzywym zwierciadle ich ułomności nie wyraża postawy autora w sposób dobitny?

„Lato” jest oskarżeniem. I nie oskarżeniem losu człowieka w ogóle, lecz oskarżeniem systemu, warunków, jakie ludzi ukształtowały tak a nie inaczej, w sposób lepszy, doskonałszy. Jest oskarżeniem i skargą, tragicznym dokumentem, pożegnana pieśnią nadciągającej zagłady. Obrazem dziwnego, zdeformowanego przez ciemność i nieszczęście świata, w którym czystość intencji nie zbawia nikogo, choć budzi współczucie i pragnienie walki z anonimowymi winowajcami. A zresztą czy są oni istotnie tak bardzo anonimowi? Czy pojawiające się na kartach tej niewielkiej książeczki o krajobrazie ludzkim słowo „antysentyzm” nie pachnie innym słowem, groźnie zawieszonym nad ciemnym światem owych lat, słowem „faszizm”? Czyż może być bardziej dyskretne a jednocześnie sugestywne przedstawienie atmosfery tamtych lat? Czyż oskarżenie stylu życia ludzi niezdolnych do wywikłania się ze swych mieszczańskich przyzwyczajęń, nie czułych na piękno, nie zdolnych do wysiłku i pragnienia nie jest także ze swej strony, oskarżeniem o wyraźnym adresie?

Rudnicki, czuły jak lekarz, który bada i notuje skrzętnie wszystkie objawy choroby, rozdzielił umiejętnie między swe postaci rysy, złożone w charakterach ludzkich erozją upływających lat i stuleci. Na skrzywdzonych padają także cienie, rzucane przez krzywdzących. „Tyle wokoło mówiono o krwi, o rasie, że i po tej stronie w to uwierzaono. Silniejszy — również na tym polega ich siła — mogą wmówić słabym to, co zechcą”.

Obraz Sądowego Dnia w Górze Kalwarii jest obrazem smutnym i groźnym, obrazem przepastnej otchłani, w jaką zapędzić może ludzi wrogość, izolacja, ciemnota i nędza.

Proza Rudnickiego nie ma sobie podobnych w naszej literaturze współczesnej. Jej osobisty niekiedy, ton kartek z dziennika i poufnych zwierzeń, kapryśny bieg — od opisu niemal naukowego (uwagi o rybołówstwie na początku książki) do filozoficznych uwag o życiu i zwykłych, stenograficznie odnotowanych plotek o ludzkich małostkach, oryginalność, niekiedy wręcz dziwaczność porównań, metafor i składni podkreślano już niejednokrotnie. Ale nie to jest najważniejsze. Ważniejszy jest fakt, że to co Rudnicki wydobyla z materii kształtowanego przez sie-

bie języka pomnaża jego pisarską subtelność i przenikliwość. To, co pisze o ludziach jest wynikiem rzadkiej u nas wedyzmy pisarza o życiu. Rudnicki jest powściągliwy w sądach, ale jeśli je wypowiada, mają one swoją wagę, podchwytują trafnie i w sposób odkrywczy prawdy wymykające się obserwacji powierzchownej i językowi potocznych publicystycznych komunałów. Każdy sąd Rudnickiego jest jak gdyby wryty, wyłobiony w opornym materiale języka. Uczy cenić jego znaczenie tak często brutalnie nadużywane dla efektów łatwych i krótkotrwałych.

Tak się złożyło, że Kazimierz nad Wisłą, taki, jaki uwieczniony został na kartach „Lata”, pozostał niemal w przeddzień jego zniknięcia w jakiś ciepły wieczór majowy, który wyrzucił mnie na bruk kasimierskiego rynku wprost z pomiędzy gwarnej rojowiska przedwojennych warszawskich ulic i murów. W statycznym niemal skrócie pozostał mi w oczach widok miasteczka, ciemniejszego w czerwieniach i fiolektach wieczornej zorzy, z czarnymi figurkami jego ówczesnych mieszkańców na tle starożytnych kamienie i drewnianych domostw w rynku. Wkrótce po tym było mi danym w ciągu kilku wojennych lat być świadkiem metamorfozy w wyglądzie Kazimierza.

Gdy przyjechałem tam w trzecie wakacje wojenne — było to puste prawie miasteczko, w którym nie pozostało więcej niż 20 procent jego dawnej ludności. Kilka bardziej pochylonych od starości ruder w okolicach rynku zastąpiły zielone kwiatniki. Ścieżki wiodące na nadwiślańską plażę były starannie wygracowane. Grupa mężczyzn różnego wieku, o rysach bardzo rozmaitych — od śniadych południowców ze spojrzaniem miękkim i granatowym do smukłych i jasnowłosych chłopców o wyglądzie skandynawskich wikingów zajęta była budowywaniem strumyka, spływającego jednym z wąwozów, płytami o starych, zatartych napisach, w obcym, niezrozumiałym języku. Był to płyty z sąsiedniego cmentarza. Zrozumiałem.

Młodzi ludzie nie znali miejscowego języka, ale wszystkich łączyło jedno znamię: biała opaska z błękitną gwiazdą na rękawie. Codziennie rano szli brukować ulice miasteczka cmentarnymi płytami smagani ostrym głosem komendy. Tylko kilku pracowało oddzielnie, okopując kwiatniki i gracując ścieżki. Rozmawiałem z jednym z nich. Mówił językiem, który z trudem mogłem pojąć, ale wydaje mi się, że w spojrzeniu i tonie jego słów przebiegały te same nuty, jakimi brzmiały niektóre smutne karty „Lata”. Był to jakiś żywy, dalszy rozdział tej samej opowieści.

W następnym roku żeby dostać się z Warszawy do Kazimierza trzeba było mieć specjalną przepustkę na kole. Kontrola miała miejsce także na przystani rzecznej. Mimo to byłem owego lata również w miasteczku. Statek dobił do wysokiego, piaszczystego brzegu rzeki o dwa kilometry wyżej i tam wysiadali nieliczni podróżni. W pustym Kazimierzu nie było już malej, z dalekich stron przywiezionej grupy ogrodników i grabarzy z błękitną gwiazdą na rękawie. W piwnicach miejscowego klasztoru gestapo urządziło więzienie. Dni i tygodnie biegly nadal pełne zapachu lip i akacji, zieleni bujnie pleniła się na dołach i górach, w jarach i wąwozach. Miał rację Rudnicki pisząc, że jest spokojny o krajobraz. Krajobraz został. Tyłko krajobraz ludzki uległ straszliwemu rylcowi dziejów.

Ryszard Matuszewski

ANNA POGONOWSKA

KLASYFIKACJA

Kiedyś —
Samotność — wiedzą była
Lza — znakiem
Uśmiech — laską.
Promieniu, promieniu który tykają ptaki
Nie analizuj mego uśmiechu,
Nie klasyfikuj go społecznie.
To prawda — pięć złotych zapłaciłam za [kwiaty,

Nie jestem głodna,
Wspominam wiersz Mickiewicza
o pierwiastku którego imię nauczone —
Niemiej
— Promieniu, promieniu, który tykają [ptaki —

Uśmiech
Jest laską.

STARCOWI

Odechodysz. Wiednie ci skóra.
Słowa, które mówisz martwieją.
Oczy nie widzą Boga ni nas.
Lisję szumiących nie słyszysz.
Gdy byłeś młody męczyło cię ciało
Chciałeś być skrzydłami. Skrzydłami,
Siódmego kręgu nieba sięgałeś [z wzrokiem zamkniętym.

Prochem były ci serca.
Prochem serce własne.

Wzgardliwy — łapczywie silnisz bulkę.
Zasyplasz. W śnie jesteś dzieckiem.
Matka pochyla nad tobą niebieskie oczy
W których pluskasz jak rybka.

*) Adolf Rudnicki „Lato” Sp. Wyd. „Książka” 1948. Wyd. II.

MATKA była zdania, że trzeba temu wszystkiemu raz dać spokój. Położył krzyżyk! Zarekwirowali autobus, no więc trudno! Zabrali jeden został drugi. Chwała Bogu, z tego co zarobi ten drugi, wystarczy jeszcze na chleb z masłem!

Kawecki na krawędzi żelaznego łóżka ślinił końce sznurowadeł, przewlekał je pracowicie przez dziurki pantofli i rzucał od czasu do czasu złośliwe spojrzenia na matkę. Siedziała na stołku, malutka jak karlica, przy oknie z doniczkami fuksji i pelargonii. W białych futrynach okna niby w ramach obrazu z błękitną akwarelą nieba wykwitwały od dołu pasowe kwiatki w doniczkach, a nad gąszczem kędzierzawej zieleni pochylała się jak cytryna — nieruchoma, żółta twarz matki.

— Bo po pierwsze — dowodziła — szkoda zdrowia. Lekarze powiedzieli, że musisz uważać na serce, że to poważna choroba. A po drugie, takie już czasy przyszły, że trzeba kontentować się małym. Nie to co dawniej... Teraz źle widzą tych, którzy za wiele zarabiają. I tylko patrzeć jak urzędy skarbowe dobiorą się im do skóry.

Matka mówiła to spokojnie, bez przejęcia, nie patrząc na syna. — Jacy ci komuniści są, tacy są, ale w jednym to oni mają rację.

— W czym? W czym? — zapytał Kawecki uragilwie.

— A w tym, że nie może tak być, żeby jedni się mozolili, pracowali w pocie czoła, a drudzy — zgarbiał pieniądze, wymigiwali się, używali życia. Tobie, syneczku, wszystko przychodziło za łatwo! Teraz widzisz, że to było ryzyko...

— Nie: ryzyko — poprawił ze złością — tylko: ryzyko...

Przygryzając z pasją sznurowadło spoglądał z nad okularów w żółtej rogowej oprawie na matkę.

Znała go tak dobrze, jak tylko matka może znać syna. Czasem zdejmował go lek przed jej ostrym, przenikliwym jasnovidztwem, z jakim czytała w jego myślach. Lubił i umiał zgarniać pieniądze, bo miał głowę na karku, to prawda! A że inni, frajerzy, nie potrafili i muszą harować za trzech, to nie jego wina!

— Już ja tam będę mówiła po swojemu — upierała się łagodnie. — Im więcej chcesz zarobić, tym większe ryzyko. Zarekwirowali ci jeden wóz... Na twoim miejscu to bym sprzedała i ten drugi... A tak!... Zamiast użerać się z władzami, milicją i pasażerami, zgodziłbyś się za szofera i miałbyś święty spokój!

Kawecki z wielkiego wrażenia upuścił pantofel, który z hukiem odbił się o podłogę. — Zwariowała mama, jak Boga kocham!

— A jednakowoż — broniła się matka spokojnie lecz stanowczo. — Popatrz, taki Wieczorek, pracuje w fabryce i czy mu źle?... Powiadają, że z majstra awansował na dyrektora.

— Bo Wieczorek to PPR, rozumie mama! Wieczorek to komunista!

— Jaki on tam komunista! — podśmiewała się starszuszka. — Sama na własne oczy widziałam, jak szedł z Celiną do kościoła.

Kawecki sięgnął po pantofel i zaczął wpychać go na nogę. — Bo on jest taki nowomodny komunista, cholera! — chrząknął zduszonym głosem.

— A mnie się zdaje — mówiła matka pojednawczo — że on tylko zrozumiał nowe czasy. I ty, jeśli chcesz żyć, musisz też się pogodzić. Inaczej...

Kawecki wzniósł drugi pantofel, wstał, tupnął i wybuchnął histerycznym gniewem. — Nigdy!... Nigdy się nie pogodzę. Niedoczekanie! — wrzeszczał czerwony z oburzenia.

Dygocącymi rękami wiązał krawat przed lustrem. — Zabrali mi autobus...

— Edziu, uspokój się! — perswadowała. — Doktorzy przecież zabronili...

Machnął ręką na doktorów, na matkę, dobył porywczo z szafy żółty, gabardynowy płaszcz, naciągnął na grzbiet, porwał kapelusz i wypadł bez pożegnania na ulicę.

Szedł potrącając przechodniów, jakby zamroczone alkoholem, do fabryki, do szwagra-komunisty, prosił o pomoc.

Nie widział nic, prócz własnej krzywdy, nie mógł uwolnić się od nieobecnych, a nekających go wrogów. Niedawne spotkania i spory z tamtymi obcymi facetami, powtarzały się w pamięci po raz dziesiąty i dwudziesty, bezustannie, od początku do końca, w kółko.

Kawecki aktualnie gadał z ludźmi, jadł i pił, a równocześnie w jego pamięci odwijał się w przyspieszonym tempie film przedwczorajszych i wczorajszych wydarzeń, którym towarzyszył bezustanny komentarz oburzenia, szyderstwa i nienawiści.

(Na początku kwietnia wojsko zarekwirowało mu autobus i tyle go widział! Od tej pory szukał wozu po całej Polsce, był w Krakowie, w Poznaniu, pytał, badał, mysz-

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

kował, wydał na te podróże parę tysięcy złotych i wszystko na nic!

Dopiero w Skierniewicach spotkany przypadkowo znajomek, szofer, który jeździł na ciężarówce Dyrekcji Lasów Państwowych, obwieścił mu sensacyjną nowinę: Wóz znajduje się w Przeradowie!

Kawecki nie znał nawet nazwiska tego człowieka. Przed paru tygodniami w restauracji przy bufecie zwierzył się nowopoznanemu szoferowi ze swego nieszczęścia i prosił, że w razie gdyby ten dowiedział się czegoś o takim autobusie, to iść.

Teraz szofer zastąpił mu drogę na ulicy. Był w szarej czapce sportowej i w czarnym płaszczu z ceraty, mokrej i lśniącej od deszczu.

— Serwus, panie starszy — powiedział rozkładając ręce. — Widziałem pańską maszynę.

Kawecki odstał o krok. — Co?... Jak?... Gdzie?...

I zaraz padł mokremu szoferowi w ramiona. — Zbawco! Mów pan! A toż to... Panie kochany! Gdzie?...

— Niedaleko stąd. Za Warszawą, w Przeradowie.

Weszli na jednego do miejscowej restauracyjki, zasiedli przy stoiku z marmurowym blatem.

— Wóz jest, panie, w Przeradowie — mówił szofer. — Wozi dzieciaki ze wsi Żabieniec do szkoły w Przeradowie i z powrotem.

— Widziałeś go pan?...

— Na własne oczy, jak tu pana widzę. Niebieski, wyblakły, Chevrolet, z firmą „Merkury“.

— Ten sam!

Kawecki rozpiął żółte, gabardinowe palto i pomacał się po kieszeni marynarki. — Kartę rejestracyjną, przedwojenne prawo jazdy, wszystkie papiery miał w porządku.

Zdjął okulary w jasnej rogowej oprawie, położył na marmurowym blacie stolika. Ręce mu drżały. Okrągłym gestem głaskał ulizane, przylegające ściśle do czaszki, rzadkie włosy o barwie słomy. Na jego chudej, wygolonej twarzy wystąpiły ceglaste wypieki.

— Wóz do pierwszej po południu stoi w podwórzu szkoły w Przeradowie — informował szofer, mając gębę pełną jada. — O pierwszej wraca z dzieciarnią do Żabienca i tam nocuje. Rano wyjeżdża do szkoły, i tak w kółko.

Wypili pod „Merkurego“, wypili zdrowie właściciela odnalezionego autobusu i jeszcze raz — zdrowie znalazcy. — I koniec — orzekł szofer dobitnie. — Jadę służbowo do Warszawy, nie mogę mieć szmeru we łbie.

— Kiedy pan jedziesz?...

— Zaraz. Chcesz pan, możesz się pan ze mną zabrać.

— Łaskawco! Dobrodziejku mój! — pisał entuzjastycznie właściciel autobusu.

W judaszu, w drzwiach parterowego budynku ukazało się oko portiera, po czym drzwi ustąpiły i Kawecki znalazł się w wąskim, mrocznym korytarzu.

— Obywatele do kogo?...

— Do pana majstra Wieczorka! — odrzekł ze złością Kawecki i spojrzał portierowi wzywającemu go oczy. Kładąc nacisk na słowo „pan“ powtórzył: — Do pana majstra Wieczorka.

— Obywatele dyrektor Wieczorek — brzmiało wyjaśnienie — jest w kancorze.

Kawecki uśmiechnął się zjadliwie. Mrużąc pod nosem: — Dyrektor, psia dusza! — wyszedł z korytarzka na podwórze, wmoszczone grubym polnym kamieniem.

Miał przed sobą trzypiętrową białą ścianę z pokratkowanymi jak szachownicę oknami, w których połyskiwały mętne szybki w żelaznych obramowaniach. A widział zgoła co innego...

(Ciężarówka Dyrekcji Lasów stała w bocznej, wąskiej uliczce. Był to stary gruchot, Opel, z budką przed motorem. Szofer i jego pomocnik wleźli do budki. Kawecki musiał się kontentować miejscem na wysokiej platformie, ogrodzonej pomalowanymi na zielono deskami. Dla ochrony przed deszczem nakrył się brezentem jak baba chustką, opatulił się starannie w ten sposób, że w otworze między płachtami sztywnego, szarego płótna widać było tylko czerwony nos i okulary w jasnej, rogowej oprawie.

Szoferowi musiała pewnie wódka uderzyć do głowy, bo gwał jak wariat. Kaweckiemu tylko śmigali w oczach zielone czuby drzew, słupy telegraficzne, dachy przydrożnych domów. Stary autobusiarz obliczał, że zdezelowana maszyna wyciąga co najmniej osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Z takim gruchotem, przy takiej jeździe łatwo się znaleźć w rowie. Ale nie bał

M E R

się wcale. Przeciwnie, solidaryzował się z pijanym szoferem. Prędkiej!... Ponościło go, żeby się znaleźć już raz oko w oko z tymi, którzy bezprawnie korzystali z jego autobusu. Odczuwał piekącą niecierpliwość wydarcia im z rąk swojego wozu. Dręczyła go żądza ogarnięcia swojego mienia.

Omiłali Warszawę. Tylko małą chwilę jechali przez jakąś dzielnicę podmiejską, w gruzach, wzdłuż wyludnionych domów z wypalonymi oczodolami czarnych okien.

Ciężarówka znalazła się znów na szosie w szczerym polu. I niebawem wjechała do jakiegoś miasteczka, zatrzymała się w rynku, na placu zabrukowanym kamieniem polnym.

— Przeradowo. Zawiozłem pana do samego miejsca — chwalił się szofer. — Co się pan będzie błąkał, myślę sobie, i tłuł jak Marek po piekle.

Kawecki wygrzebał się spod brezentu i złaził z ciężarówki. Drżącymi rękami ścisnął ręce swego wybawcy, nazywał go dobrodziejem.

— Szkoła jest tam, za rogiem. Wóz pewnie stoi w podwórzu. Musisz pan pogadać z nauczycielem, a jeszcze lepiej — z sekretarzem magistratu... Ale to, panie, taki — tu szofer zgął rękę i pokazał lokciec — taki peperowiec!

Zasiadł z powrotem przy kierownicy, zatorczył koło na pustym placu, dodał gazu i odjechał.

Kawecki udał się we wskazanym kierunku.

Szkoła mieściła się w jednopiętrowej kamienicy, nieotynkowanej. Pod niskim sklepieniem bramy świszczał wiatr, ciągnący z podwórza przez otwarte na oścież wrota. Środkiem biegła deska nakrywająca rynsztok. Po tej desce przeszedł do przeciwnego wylotu bramy i zatrzymał się oczarowany widokiem, jaki się roztoczył przed jego oczami. W kącie, w głębi rozległego placu stał jego „Merkury“. Był rzeczywiście, jak określił szofer, „wyblakły“. Niebieska glazura straciła na połysku, zmętniała i jak gdyby wypłowiwała. Liczne odpryski i plamy rdzy pokrywały kadłub, podwozie i maskę na motorze. Szyb w oknach nie było. Jakiś dryblas bez czapki siedział na stopniu, cmił papierosa.

Kawecki nie mógł się oprzeć pokusie; podszedł, położył rękę na błotniku, niedostrzeżalnym gestem pogłaskał swój autobus.

— Czego obywatel chcesz? — warknął dryblas z papierosem.

— Gdzie tu jest panie szkoła?...

— Obejrzyj się pan. Za plecami! — odrzekł dryblas i splunął.

Z wnętrza fabryki niósł się pracowity, nieustający loskot, niby dudnienie pociągu w pełnym biegu, loskot, który zdawał się wstrząsać posadami gmachu i wprawiać białą ścianę w niewidoczne drżenie.

Kawecki pchnął drzwi. Zatrzasnęły się za nim z hukiem, pociągnięte przez sprężynę. Nieustający loskot i szum natarły nań teraz jak burzliwy, porywisty wiatr, miotający kłębami pyłu.

Zdezorientowany rozglądał się po kancorze.

Zestosowane ściśle i poźółtkie jak stara klawiatura pianina grzbiety segregatorów wyzierały nieprzyjaźnie z półek w szafach pod ścianami.

Z boku wysokie do podłogi okno dzwoniło cienkim jak brzęczenie komara brzmieniem, drżąc od intesywnego loskotu maszyn.

Trzy młode kobiety ślezały nad stołami, zarzuconymi stosem papierów, księgami kasowymi i liczydłami.

Gdy zapytał o majstra Wieczorka, jedna z nich uniosła głowę i odgarnęwszy kolistym ruchem ręki pasemko blond włosów, opadających na czoło, poinformowała, że dyrektor jest na sali. — Może pan wejść — powiedziała, wskazując mu drogę przez długi korytarz.

Udał się tam powoli i zatrzymał się na progu wielkiej hali fabrycznej, niezdecydowany, jakby porażony loskotem, hukiem i zgłębkiem, z jakim pracowały długie szeregi maszynowej armii krosien.

Mrużąc oczy patrzył na dziesiątki wirujących na walcu transmisyjnym pod sufitem kół napędowych. Z kół wisały czarne, wyszlizgane tasiemce w nieustannym obrocie — pasy transmisyjne. Pasy wprawiały w ruch armię krosien, zbrojnych w dźwięnie, płochy i bijaki, które zadawały regularnie ciosy, rytmiczne i twarde.

Kawecki patrzył mrużąc oczy. Wszystko to wydawało mu się jakby zasnutym dymem benzynowym i kurzawą wznoszącą się spod kół odjeżdżającego autobusu. W jego pamięci odwijał się wciąż film z przedwczorajszych wydarzeń.

(W oknach bocznej oficyny na parterze widział dzieciaki siedzące na ławkach, a między ławkami przechadzającą się młodą kobietę.

Pospieszył do wejścia w oficynę. Z sieni wiodło dwoje drzwi; na jednym wisiał tekturowy szyld z napisem: Szkoła, na drugim — z napisem — Kancelaria.

Pchnął energicznie te drzwi. Spieszył się teraz bardziej niż w drodze do Skierniewic, chciał już, zaraz wyświetlić tę sprawę, zająć przy kierownicy, niech mu zwróci wóz, nie będzie rościł pretensji o to, że korzystali tyle czasu z cudzego autobusu, pal ich diabli!

Blada, wychudzona twarz mężczyzny uniosła się nieco nad stołem za politurowaną barierką. — Pan do kogo? — zapytał ów mężczyzna zmęczonym głosem.

— Chciałbym się widzieć z nauczycielem.

— Proszę. Jestem nim.

— Z kierownikiem szkoły — dodał Kawecki z naciskiem. Według jego wyobrażeń dyrektor szkoły powinien wyglądać inaczej, nie tak, jak ów urzędniczyna — głodomór.

— Proszę. O co chodzi?...

Kawecki rozpiął płaszcz, wyjął z bocznej kieszeni marynarki plik dokumentów, położył na barierce i oświadczył z powściąganym uczuciem triumfu: — Jestem właścicielem autobusu, z którego szkoła korzysta. O, tego właśnie!

Ruchem głowy wskazał na otwarte okno. Deszcz zaczął znów padać. Dryblas z papierosem przepadał bez śladu. W otwartym oknie widać było niebieski autobus, moknący na deszczu.

Wąska pionowa zmarszczka wystąpiła na białym czole nauczyciela.

Kawecki rozgarnął plik swych dokumentów. Pokazał kartę rejestracyjną, przedwojenne prawo jazdy, anons reklamowy. Anons był również przedwojenny, wydany przez Ojcowską Komunikację Autobusową Edward Kawecki i S-ka w Ojcowie. Poznaj Ojcow i Pieskową Skalę! — głosił napis na kartce tytułowej. Pod tym napisem umieszczona była fotografia trzech autobusów na malowniczym tle skalnego urwiska.

— Pan ma trzy autobusy.

— Teraz tylko dwa, panie nauczycielu kochany. Jeden mi wywieźli Niemcy. Drugi kursuje między Kielcami a Krakowem; musiałem go wydzierżawić. Ten trzeci, „Merkury“, o, widzi pan, ten sam! — Kawecki pokazał na fotografię. — Środkowy... Przyjechałem go zabrać.

W tej chwili gdzieś w podwórzu zapiał kogut, zapiał rozdzierająco, ochryple. I zaraz potem rozległ się spokojny głos nauczyciela:

— To się nie da zrobić.

Kawecki odstał od barierki nie wiele, o krok, po czym z powrotem chwycił się oburącz drewnianego oparcia. — Co?... Dlaczego?...

— Tym autobusem przewozimy dzieci ze wsi, oddalonej o 6 kilometrów od Przeradowa — brzmiało wyjaśnienie. — Rozumie pan chyba, że nie można skazywać dziecka na to, żeby robiło codziennie 12 kilometrów do szkoły i z powrotem. Gdy odbudujemy spalony w Żabieńcu budynek szkolny, to panu zwrócimy wóz.

— Dobrze, ale...

— Ma pan zresztą jeszcze jeden autobus, więc nie dzieje się panu krzywda! To, co pan zarabia...

Kawecki palnął ręką w barierkę. — To mi nie starcza na pół miesiąca — przerwał. Nie mogę z tego żyć!

Nauczyciel wstał. Właściciel autobusu teraz dopiero mógł się przyjrzeć jego zwiędłej przedwczorajniej twarzy o zapadłych policzkach.

— A ja?... Co ja mam powiedzieć? — zapytał z naciskiem nauczyciel. — Moja pensja nie starcza mi nawet na...

Wielka wrzawa po drugiej stronie sieni pokryła jego słowa.

Kawecki spojrzał nieprzytomnie w okno. Na podwórzu zaczęły się wysypywać gromady dzieci. Jak rój pszczoł dokoła ula, fruwały wokół „Merkurego“. Z sieni przeciwnielegiej kamienicy wyszedł dryblas bez czapki, podszedł do wozu, zasiadł przy kierownicy.

Kawecki odwrócił się, nie mógł na to patrzeć. Żeby obcy ludzie rozporządzali się tak bezceremonialnie jego wozem!

Nauczyciel też patrzył na podwórze, na dzieciaki, ładujące się z krzykiem do autobusu. Nikły uśmiech rozjaśnił jego zmęczonej, mizernej twarzy.

Kawecki odchrząknął. — Więc jakże to będzie? Maszyna jest moja!

KURZY

— Nie wiem — odrzekł nauczyciel sucho. Uśmiech znikł mu z twarzy. — Myszmy otrzymali ten wóz od wojska w darze dla dzieci.

Właściciel autobusu otworzył usta i zacierpiał rozpaczliwie powietrze. — Wiesz pan jak się to nazywa? To się nazywa granda! To się nazywa złodziejstwo! To się nazywa...

Zabrakło mu słów, był śmiertelnie błądy, wargi mu drżały.

Nauczyciel patrzył nań z zastanowieniem smutnymi, zmęczonymi oczami. — Żebyś pan to nie wiem jak nazwał, to mi jest obojętne. Tu nie chodzi o nazwę. Dla mnie ważne jest tylko to, że dwadzieścioro dzieci może się uczyć. Bo gdybyśmy n'e mieli tego wozu...

Warkot motoru odwrócił uwagę Kaweckiego od tego, co mówił nauczyciel. Klaksofon ryknął dwukrotnie i niebieski autobus ruszył powoli w kierunku bramy. Odjeżdżająca dzieciarnia machała z wozu na pożegnanie rękami, te zaś dzieci, które miały zostać, biegły z krzykiem za odjeżdżającym „Merkurym“ póki nie zniknął w czarnym lochu bramy.

W długim, wąskim przejściu między krosnami ujrzał Wieczorka, przypatrującego się pracy jednej z robotnic przy warsztacie.

Boczkciem, w obawie przed zajądłością pracujących na oslep maszyn, zaczął posuwać się w kierunku majstra.

Wieczorek na widok szwagra odstąpił od warsztatu i ujął gościa za ramiona. — Edward, jak Boga kocham, ty tutaj?... Kope lat! — i tym podobne, jak zwykle przy tego rodzaju powitaniach. Był to wysoki, chudy mężczyzna o szarej, pomarszczonej twarzy i lysej czaszce. — Co cię sprowadza?

— Interesy — wyjaśnił zwięźle Kaweck i poprawił na nosie okulary w jasnej, rogowej oprawie. — Takie tam interesy! — dodał z nutką szyderczego ubolewania. — Ani mi się równać z tobą, ważny dyrektorze!

Mówił głośno, starając się przekrzyczeć piekielny szum w fabryce. — Słyszalem, żeś awansował! Wiesz, jak! — wytykał głos, dmuchając Wieczorkowi w ucho.

Zmęczony umiłki i rozglądał się pobieżnie po hali.

(Wtedy ktoś zastukał i wszedł do kancelarii. Był to chłop na schwał, bary jak piec, szeroka, rumiana gęba, wyglansowane buty z cholewami.

— O, właśnie jest pan sekretarz z magistratu — oznajmił nauczyciel. — Może się pan z nim dogada.

A do sekretarza powiedział: — Odnalazł się właściciel autobusu.

I usiadł, zabrał się do roboty.

Kawekci rzucił się do swoich dokumentów na barierce. Zaczął rozgarniać drżącymi rękami papiery, pokazywał kartę rejestracyjną, przedwojenne prawo jazdy, a nons. — Panie sekretarzu! Kochany, dzieje mi się krzywda. Szkoła nie chce mi zwrócić mojego autobusu. Przecież tak nie można na Boga! — utyskiwał. — Przecież w Polsce istnieje jeszcze prawo własności, przecież...

Sekretarz słuchał w milczeniu, ani słowa się nie odzywał, nie przeczył i nie potwierdzał, pozwolił się Kaweckiemu wygadać. — W końcu odezwał się tubalnym głosem: — Oddać, nie oddamy, kupić nie kupimy, bo gminę na to nie stać, ale możemy od pana wydzierżawić ten autobus.

— Wydzierżawić? — pisał drwiąco właściciel autobusu. — Wydzierżawić, proszę. Mnie to nie dogadza, ale dla ciekawości chciałbym wiedzieć, ile też moglibyście mi zapłacić za dzierżawę. Co?... Ile?... Miesięcznie.

Drżącymi rękami poprawił okulary na czerwonym nosie.

Sekretarz miał chwilę namysłu. — Ile?... Pięćset złotych! Ani grosza więcej.

Kawekci wybuchnął hałaśliwym śmiechem. — Pięćset złotych! Czy pan kpisz, czy o drogie pytasz?

Śmiał się boleśnie, sarkastycznie.

— To bezczelność! Weź pan sobie na trumnę, panie, te pięćset złotych. Dziesięć razy tyle — mówił z naciskiem. — Gdybyś pan zaproponował dziesięć razy tyle, to bym jeszcze rozumiał.

Sekretarz machnął ręką. Tubalnym głosem oświadczył: — Nie te czasy, panie nie te czasy! A jeśli pan nie chcesz wydzierżawić wozu, to zgódź się pan do nas na szofera. Damy panu trzy tysiące miesięcznie i żarcie.

Kawekci palnął pięścią w barierkę. — Nie chcę dzierżawy, nie chcę posady, chcę mieć mój wóz! Mój wóz, rozumiesz pan?

— A, że pan tak chcesz, to jeszcze mało — replikował sekretarz. — Nam ten autobus jest teraz potrzebny do przewożenia dzieciaków. Jak przyjdzie czas, jak odbudujemy szkołę w Żabieńcu, to go panu oddamy i zapłacimy odszkodowanie.

Kawekci machnął ręką, nie i nie! Nie chce, nie zgadza się!

— A, skoro pan nie chcesz, to idź pan do sądu, wolna droga!

Właściciel autobusu zgarnął swoje papiery, schował do kieszeni.

— Pójdę do sądu! Pójdę choćby do samego diabła, a swojego nie daruję! Bo to jest granda, tak postępować! Tak się nie robi! To nie po ludzku i nie po chrześcijańsku, tak!

— Za to po ludzku i po chrześcijańsku, gdyby te dzieci wyrosły na analfabetów, co? — wtrącił nauczyciel nie podnosząc głowy znad zeszytów.

— A co mnie to obchodzi? — wrzasnął Kawekci urągliwie. — Co mnie to może obchodzić?

Oburzony wyrzucił ręce w górę i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Wieczorek idąc za spojrzaniem szwagra oświadczył z dumą:

— Puściliśmy fabrykę w ruch! Jakżeś my tu przyszli w lutym, w miesiąc po wypędzeniu Szwaba, wszędzie była taka ruina, powiadam ci, aż strach! Dopiero zwolul ludzi, rozpalaj ogień w kotłowni, zatykaj szmatami potluczone szyby!... — A remont warsztatów!... Mówię ci, spracowałem się przez te pierwsze trzy tygodnie jak cholera!

(Zaraz na ulicy spytał pierwszego napotkanego przechodnia — gdzie tu w Przeradowie adwokat.

Pokazano mu biały dom jednopiętrowy po drugiej stronie rynku. Innych adwokatów w Przeradowie nie było, tylko ten jeden, Antoni Krzywoszewski. Do kancelarii adwokackiej szło się po wąskich stromych schodach w ciemnej sieni, gdzie pachniało mydlinami i kiszoną kapustą.

Jakaś baba otwariła drzwi wycierała jeszcze ręce fartuchem.

Mecenas gruby, niski, bryła mięsa, rozmawiał w korytarzu z kobietą ze wsi. Na widok nowego klienta odprawił kobietę i wprowadził Kaweckiego do gabinetu.

— Niech pan siada.

Właściciel autobusu siadł, wyjął dokumenty, rozłożył na biurku i okazywał po kolei: anons, kartę rejestracyjną, przedwojenne prawo jazdy... Tak i tak. Szkoła nie chce zwrócić. Trzeba robić sprawę.

— Reprywatyzować — stęknął grubas. Rozłożony w fotelu, z rękami splecionymi na brzuchu, spoglądał apatycznie, bez zainteresowania na papiery demonstrowane przez klienta. — Ciężka sprawa.

Kawekci ułapił się oburącz krawędzi biurka. — Dlaczego, panie mecenasie kochany. Dlaczego?

Grubas odsapnął. — Ciężka sprawa! — powtórzył. — Raz, że TŻP czyli Likwidacja wystąpi do sądu z wnioskiem o wyłączenie spod reprywatyzacji... Dlaczego?... Dlatego, że autobus ma znaczenie dla szkolnictwa. Drugie, że nawet w razie wygrania przez nas sprawę, Gmina będzie apelować i proces się przeciągnie. A jeszcze...

Krótką, tustą rękę unosił nad biurkiem, jak gdyby dla zobrazowania piętujących się trudności. — A jeszcze potem — sapal — musisz pan iść z wyrokiem i prosić, żeby pana wprowadzili w posiadanie autobusu. To długa historia, panie!

Kawekci zgarnął drżącymi rękami swe dokumenty na biurku.

— Długa historia. To znaczy, miesiąc, dwa...

Adwokat zarechotał grubym, zawieszonym śmiechem. — Dziecko pan jesteś, czy co?... Dziesięć miesięcy, panie, dziesięć, a może i więcej!

Właściciel autobusu zerwał się z krzesła. Dziesięć miesięcy! Rany boskie!... Przez ten czas zajeżdża mu maszynę na amen!

Drżącą ręką wpychał swoje dokumenty do kieszeni. Za dziesięć miesięcy „Merkury“ będzie się nadawał na szmac. Usiłował to wytłumaczyć adwokatowi.

— Co, u diabła, przecie to moja własność!

Obu pięściami grzmocił się w pierś. — Moja własność! Czy w Polsce już nie ma prawa własności?

Grubas wytrzeszczył oczy. W tłustej, nabiegłej krwi i pociemniałej twarzy białka wybałuszonych oczu błyszczały źdźbko i złowrogo. Wstał. Podszedł do wrzeszczącego klienta. Chwylił go mocno za ramię. I potrasnąwszy nim raz i drugi, zaczął fukać:

— Obudź się pan! Obudź się pan, do licha! I nie drzyj się pan! Z księżycą pan spadłś,

czy co? Nie wiesz, na jakim świecie pan mieszka?... Ja też straciłem majątek.

Zasapany, puścił ramię skonsternowanego klienta. — Majątek ziemski, panie!

Twarz spochmurniała mu, ręce zwisły wzdłuż tułowia. Pochyliwszy głowę widł ponurym spojrzeniem spođe ła, jak gdyby wypatrując wokół siebie zaczajonych, niewidzialnych wrogów, którzy pozabawili go majątku. — To było więcej warte, niż pański zasrany autobus. I nie robię awantur. Rewolucja, panie!

Kawekci stropił się i cofnął o parę kroków. Sprawiał wrażenie człowieka, który podejrzewa, że robią z niego durnia. — Co za rewolucja? Jaka rewolucja?

Grubas potoczył się niby kula, wprawionym silnym pchnięciem w ruch i zatrzymał się tuż przed klientem, dotykając go niemal wypiętym, okrągłym brzuchem. — Co za rewolucja? Jaka rewolucja — przedrzeźniał poirytowany. — Bezkrwawa! — fuknął w odpowiedzi. — Łagodna rewolucja! Wiesz pan teraz?

Energetycznym ruchem ręki wskazał na okno. Za oknem kłębił się i snuł przypuszczony przez wiatr i spychany w dół ku ziemi bury dym z wysokiej blaszanej rury kominna na czerwonym budynku fabryczki. — Ta fabryczka była kiedyś własnością prywatną. A teraz wiesz pan kto tam rządzi?... Rada zakładowa, panie!

Wzniesioną tustą ręką zakreślił w powietrzu luk. — W moim majątku gospodarują chłopie! Reforma rolna, panie!

Wieczorek szedł wielkimi krokami w przejściu między warsztatami. Szerokim gestem ręki ogarnął żelazne, pracowite państwo robotników i maszyn. — Na razie brak nam jeszcze fachowców, wykwalifikowanych tkaczy, ale ludzie wracają powoli do kraju, zgłaszają się do pracy. Każdy woli pracować na swoich śmieciach, u siebie w domu, w Polsce. Za dwa, za trzy miesiące, bracie, dojdziemy do pełnej produkcji przedwojennej! 65.000 metrów wełny na miesiąc.

(Adwokat zaś w nowym przypływie gniewu grzmiał: — Co to wszystko znaczy?... To właśnie rewolucja, panie!

Kawekci słuchał w milczeniu, przygarbiony, z wyciągniętą szyją. Wszystkie swoje dokumenty, anons, kartę rejestracyjną, przedwojenne prawo jazdy umiścił już w kieszeni marynarki. Z kolei zaczął zapinać płaszcz, chudymi, dygocącymi palcami, które płały się w dziurkach.

— Musisz się pan przyzwyczaić, panie — sztychł adwokat — do nowych porządków. — Przyzwyczaić? — wrzasnął Kawekci. — Nigdy! Nigdy się nie przyzwyczaję!

Dopiął płaszcz na ostatni guzik i pogroził niewidzialnemu wrogowi pięścią. — Nigdy! — wrzeszczał ochryple i zaczął się krztusić. — Niedoczekanie!... Zechym ja... Mój autobus... Podpalę!... Rozbiorę!... Zniszczę!... A nie dam!

Adwokat zamachał rękami. — Czyś pan siłkował?

Oburzony, dopadł rozwścieczonego klienta. — Wynos się pan! Jeszcze mi pan tu milicje...

Wypychał go oburącz, bez ceregieli na korytarz, a z korytarza — na schody.

— Podpał, a nie dam! — wrzeszczał Kawekci. — Nie dam! — krzyczał jeszcze w sieni.

Wzburzony, dysząc, opuścił się ze schodów i wypadł przed bramę.

— Panie! — okrzyknął go z góry piskliwy głos kobiecy.

Wzniósł głowę.

— Panie! — zawołano i z otwartego lufcika na pierwszym piętrze wyleciał jego szary, filcowy kapelus, po czym lufciki zamknięto energicznie, z trzaskiem.

Kawekci porwał kapelus z chodnika i ruszył wielkimi krokami przez rynek. Nagle zatrzymał się na środku placu i toczył błędnym wzrokiem jakby w poszukiwaniu śladów po zaburzeniach i zamieszkach.

Nie widział żadnych zmian. W czwartym miesiącu po wypędzeniu Niemców wszystko zostało w tym małym miasteczku gnuśne i ospale.

Z jednej strony rynku wznosiła się biała fasada kościoła. W owalnej wysokiej wnęce w ścianie stał posąg świętego w pozłacanej koronie i w płaszczu o barwie ciemno niebieskiej, przypominającej granatową farbę do prania. Z trzech pozostałych stron małe, piętrowe kamieniczki, drewniane budynki, rudery i budy zamykały kwadrat placu.

Z tego skupiska domostw rzucał się w oczy tam — posrebrzany model trumny za szybą wystawy obramowanej ciemno-białymi sztykami, gdzie indziej — staroświec-

ka reklama: trzy blaszane talerze na żelaznym pręcie nad zakładem golibrody.

Ale przy głębszym wejrzeniu w to senne środowisko można było dostrzec tu i ówdzie znamię nowych czasów. A więc za domem, w którym mieszkał adwokat, wznosiła się dymiąca rura blaszanego kominna na fabryczce opanowanej przez Radę Zakładową. Nad bramą sąsiedniej kamienicy wisił czerwony szyld z białym napisem Komenda Milicji Obywatelskiej. O parę domów dalej czarne jak smoła litery PPR na białej tablicy w wieńcu z gałgami świerkowych zdawały się czuwać nad porządkiem rewolucyjnym w miasteczku. A jeszcze dalej, za węglem naroznego budynku mieściła się szkoła z nauczycielem, bładym i wygłodzonym, i z sekretarzem magistratu, którzy odmawiali wydania autobusu.

Poczuł się wtedy straszliwie osamotniony. Stracił wiarę w to, żeby mu kto mógł lub chciał pomóc. Człowiek jest zawsze sam ze swą troską i biedą).

Wieczorek, jak wódz lustrujący swą armię, rozglądał się z dumą po hali. Oczy mu błyszczały.

— To była dawniej prywatna fabryka? — zagadnął Kawekci, spojierając znacząco z nad swych okularów w jasnej rogowej oprawie.

— Prywatna. Właścicielem był Chil Majer Pik. Siedzi podobno w Palestynie, do brze mu się tam powodzi.

— A teraz?

— Co teraz? — oburzył się Wieczorek. — Teraz to jest kralnia państwowa.

(Wtenczas, zmordowany, udał się na poszukiwanie noclegu. Kolejka odchodziła tylko raz dziennie z Przeradowa, o dwunastej w południe.

I nazajutrz obudził się w innym świecie. W świecie, w którym nie było już niebieskiego autobusu firmy Ojcowskiej Komunikacji Autobusowej).

— W marcu uruchomiliśmy pierwsze 25 krosien! — opowiadał Wieczorek. — Szwabcy zostawiły zapasy sztucznej wełny. Łódzkie Zjednoczenie dostarczyło nam surowca na produkcję koców. Ale już w maju, bracie, puściliśmy w ruch wszystkie 115 krosien i produkujemy teraz półwełnę na sukienki! 8 tysięcy metrów miesięcznie.

(Długa, wąska uliczka od rynku wiodła do toru kolejowego. Kawekci udał się tam, po czym skręcił na szosę w kierunku Żabieńca. Miał jeszcze parę godzin do odejścia kolejki. Chciał zobaczyć „Merkurego“ w ruchu. Wczoraj widział go wyjeżdżającego z podwórza szkoły. Odczuwał gorzki podziw dla tej straconej maszyny, która tak pięknie chodziła.

Było wpoł do ósmej. „Merkury“ powinien o tej porze wieść dzieciaki do szkoły. Spotkanie nastąpiło na szosie, w lesie.

Dojmujący żal ścisnął Kaweckiemu serce na widok zbliżającego się autobusu. Znający uszom warkot motoru drażył głęboko ciszę lasu. Kawekci usunął się na bok, na przymę kamieni. Jego żal przerosł się w gniew, oburzenie, bunt przeciwko tym, którzy pozabawili go wozu, przeciwko szkole, przeciwko dzieciakom, przeciwko komunistom, przeciwko całemu światu.

I gdy maszyna z szumem przetoczyła się tuż obok swego właściciela, Kawekci schylił się, ujął z przymy garść kamieni i zaczął cisnąć z pasją w oddalający się autobus. Jeden, drugi, trzeci kamień trafiły w tylną ścianę „Merkurego“. Ale wóz oddalał się zostawiając za sobą snujący się nisko, przy samej nawierzchni szosy smugę kurzu.

Kawekci jak oszalały rzucił się środkiem szosy między dwiema ścianami lasu w po-goń. Rozwścieczony miotał pocisk z pociskiem. W żółtym gabardynowym płaszczu, rozwianym na wietrze, pędził miotając naderemnie, wciąż i jeszcze, bez przerwy kamienie, które nie mogły już dosięgnąć oddalającego się autobusu).

Wzmógł szum maszyn zagłuszył dalsze słowa Wieczorka. Kawekci zdołał posłyszeć tylko pytanie końcowe: — No, a ty co?

Poprawił nerwowo oburącz okulary na nosie.

— Ot, mam zmartwienie — mówił stając się znów przekrzykując zgiełk i loskot. — Zabrali mi autobus! — dmuchał Wieczorkowi w ucho.

Thumaczył, że na początku kwietnia zakrekirowali mu wóz i tyle go widział. Wędrował już od paru miesięcy po całym kraju, był w Poznaniu, w Krakowie, w Warszawie. Szukał, pytał, wydał na te podróże mnóstwo pieniędzy, wreszcie znalazł autobus i teraz, nie chcą mu go wydać.

— Zwróć się do milicji.

Kawekci odsunął się o krok i popatrzył na szwagra jak na człowieka niepełna rozumem. — Może mi jeszcze poradzisz, żebym się zwrócił do UB? — spytał zjadliwie. — Żeby mnie zamknęli?

— Człowieku! — wrzasnął Wieczorek. — Za cóż by cię mieli zamykać?

Kawecki uśmiechnął się wyniośle, jak ten, który wie lepiej.

— Myślałem, że może masz jakieś stonki, znajomości. Że mi kogoś wskażesz? Uważasz, tu by trzeba posmarować.

Nie, Wieczorek nie miał żadnych takich znajomości i obejrzał się frasobliwie, gdyż z głębi hali dobiegły go nawoływania: — Obywatel dyrektor! Obywatel Wieczorek!

— Nie chciałbym ci przeszkadzać... Nie chciałbym ci...

Kawecki przedzierał się wyteżonym głosem przez szum i dudnienie krosien, pasów transmisyjnych, kół napędowych. Ochrypl z gadania, czuł się zmęczony i zażenowany. Po cóż on wreszcie pcha się ze swoim Merkurym tutaj, gdzie odchodzi robota na całego?

Był porażony wielkim oddechem, nateżeniem i tempem pracy maszyn i robotników w tej hali fabrycznej. I cóż wreszcie znała jego mała, prywatna sprawa wobec

olbrzymiego, zbiorowego wysiłku, jaki ożywia pracujących tu ludzi?

Podrażniony, powiedział głośno, zjadliwie — Duszą inicjatywę prywatną. Nie dają ludziom żyć.

Wieczorek roześmiał się szeroko, rubasznie: — Nie dają robić interesów? A do pracy, leniuchu, a do pracy... Ale to nie, wszystko się ułoży. Przyzwyczaj się i ty! (Musisz się pan przyzwyczaić, panie — sztychł adwokat — do nowych porządków).

Kawecki zaczerpnął głęboko powietrza.

(Wówczas na widok zatrzymującego się autobusu pomyślał, że wzrok go myli. Nie wierzył oczom. Po chwili ujrzał kierowcę, ładującego na szosie. Za czym jak kula, tocząca się jeszcze siłą rozpędu, biegną na spotkanie dryblas, wyjmując po drodze z kieszeni pod marynarką anons, kartę rejestracyjną i przedwojenne prawo jazdy.

— Coś pan, zwirował, do ciężkiej cholery? — wrzasnął szofer. — Ciskać kamieniami w dzieciaki?

Kawecki wystawiał mu przed oczy dokumenty: — To... to... to... — to są moje święte prawa!

Tamten trzepnął go po ręce. Papiery wzbily się w górę, frunęły, opadły i ulatywały na wietrze po asfalcie. — Wariat! Wariat! — ryknął szofer i rozplaszczoną ręką wymierzył okazielowi dokumentów tęgi cios w pierś. — Ciskać kamieniami w dzieciaki?!

Kawecki, pchnięty, zachwiał się od uderzenia i siadł na szosie. Musiał wyglądać komicznie siedząc tak z długimi, wyciągniętymi nogami i macając rękami po asfalcie w poszukiwaniu papierów, bo gromadka dzieci, które wyskoczyły z autobusu, zatrząsa się od wesółych pisków, śmiechu i chichotów).

Skrbóś loskot i dygotanie maszyn przewinał się jak wesola melodia śmiech i pisk rozbawionych dzieci i Kawecki dcznął znów uczucia zawstyżenia. Jego sprawa rozla-

tywała się jak te świstki papieru na szosie i wydała mu się teraz śmieszna i zagubiona w tym pracowitym luku i szumie; zaplątana w diabelskie, przesuwające się szybko i sprawnie pasy transmisyjne, ścierała się na proszek. I cóż z niej wreszcie zostało?... Miazga.

— Obywatel Wieczorek! — nawoływali ludzie pracujący w głębi hali.

— No więc? Co ci to? — zapytał szwagier komunisty.

Kawecki dopiął nerwowo swój złoty, gahardinowy płaszcz. — A co ci tam będę zwracał głowę. Nie masz czasu. Do widzenia!

— Edward, czekaj! Stój, warjacie! — wołał za nim Wieczorek.

Ale Kawecki udał, że nie słyszy, i nie odwracając się, przygarbiony, jał oddalać się pośpiesznie, chyłkiem, w przejściu między pracującymi zaciekle maszynami.

Władysław Rynkiewicz

ADAM MAUERSBERGER

ANGLIA—POLSKA 1830—1840

Uwagi nad pracą Tadeusza Hołuj

SUMIENNA i umiętna praca Tadeusza Hołuj o sprawie polskiej w Izbie Gmin 1830—1840 jest tym godniejsza komplementów, że nie wyszła — zdaje się — spod pióra zawodowego historyka, że jest studium historycznym do powieści. Nie jest jednak wolna od usterek, i to w niej co już nie jest streszczeniem debat parlamentarnych, raz po raz — postaram się to wykazać — nasuwa wątpliwości.

Zabieram głos — poczuwam się niejako do takiego obowiązku — skoro znane mi były rękopisy, które albo spłonęły w oblężeniu Warszawy 1939, w powstaniu warszawskim 1944, albo jako obce, przechowane poza krajem, mało są dostępne. A zawierał się w nich grunt wiedzy o sprawie polskiej, której ułamek w chronologicznym i rzeczowym znaczeniu opracował T. Hołuj, jak sądzić można już po wojnie.

Znam dwa rękopisy prac fundamentalnych, których każda jest dziełem życia. Znam rękopis Ludwika Widerszala o polityce Angli i Polski na przestrzeni trzech ćwierci dziewiętnastego wieku. Ta praca prawdziwego miłośnika cywilizacji angielskiej i kunsztu angielskiej dyplomacji, napisana jest z wielkim rozeznaniami politycznym człowieka, który w polityce czynnej, już nie jako docent tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, ale jako urzędnik Biura Informacji Politycznej Armii Krajowej, zmierzał do porozumienia ze Związkiem Radzieckim i zginął za swe przekonania w walce o polską rację stanu.

Już po nieodżałowanej śmierci młodego, polskiego historyka, niżej podpisany zaniósł niestety do sfilowania rękopis „Anglii i Polski”, który spłonął w postaniu Warszawy. Zachował się tylko zasadniczy zarys myśli i argumentacji w obszernym sprawozdaniu z pracy Ucznia w pracy Ministra. Znam bowiem zachowany dzięki zapobiegliwości Z. Mitznera i A. Bohdziewicz rękopis w odbite maszynowej i odbite filmowej, rękopis dwóch pierwszych tomów dzieła Marceliego Handelsmana p. t. „Polityka księcia Adama na emigracji”.

Jest to biografia człowieka, monografia epoki, przede wszystkim polska korekta historii dyplomatycznej, precyzowanej chronologicznie rok po roku, a także precyzowanej szerzej, zagadnieniami w osobnych rozdziałach.

Marceli Handelsman, zdawałoby się od dawna u szczytu erudycji i sławy, rozwinął swe możliwości dopiero w „Czartoryskim”, w tej pracy pośmiertnej. Podobnie jak Widerszal zamordowany został przez N.S.Z., tak Handelsman, na krótko przed powstaniem uprowadzony został przez tę samą organizację i wydany Niemcom, którzy zresztą, nauczeni kłopotami międzynarodowymi po krakowskiej akcji specjalnej przeciw profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie zabili Wiceprezesa Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych i następcę Kiplinga na miejscu członka rzeczywistego Instytutu Francji, lecz skierowali go ostatecznie do koncentracyjnego obozu, gdzie zmarł z wycieńczenia, już po upadku Hitlera, pod okupacją anglosaską.

Poznałem archiwa polskie i obce w zakresie interesującym T. Hołuj. Mam na myśli spalone archiwa warszawskie: Akt Dawnych, Rapperswilskie, Ordynacji Zamoyjskiej; ocalałe w Krakowie: Czartoryskich; paryskie: Biblioteki Polskiej i francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych; londyńskie: Public Record Office. Znam oczywiście pewną ilość druków; źródeł i opracowań.

Naprzód wydaje się wątpliwym twierdzenie, że w okresie Powstania Listopadowego sprawa belgijska była centralnym zagadnieniem polityki europejskiej. Wydaje się, że tak sprawy stawać nie należy, bo polityk nie pracuje nad monografią Belgii, a pracuje, jeśli się można tak wyrazić, nad rywalizacją mocarstw. (W Krakowie czytamy na sztychach „Angelus ordynuje w chorobach wewnętrznych” — a więc polityk ordynuje w rywalizacji mocarstw). Rywalizacja ta



prof. Marcell Handelsman

przejawia się w mniejszym czy większym stopniu wszędzie i jest skomplikowana. Powołanie do życia niepodległego Państwa Belgijskiego było wyjściem z sytuacji, było znalezieniem dla rywalizacji Francji i Anglii formy pokojowej i stałej, było tym co się nazywa w języku dyplomatycznym rozumnym kompromisem. Niepodległa Belgia okazała się bowiem stałym czynnikiem odprężenia międzynarodowego. Rozwiązanie to mimo, że wytrzymało, jak się zdaje, próbę czasu, ma ograniczoną użyteczność: było pomyślane przed zjednoczeniem Niemiec i nie wytrzymuje próby imperializmu niemieckiego. Wytrzymało próbę życia w układzie Anglia — Francja — Rosja — Austria. Otoż, gdy nastąpił wybuch Rewolucji Lipcowej 1830 i przeniosła się ona do Brukseli to, w Anglii obawiano się — i trudno się było temu wówczas dziwić — że żądny władzy Ludwik Filip (takim go widać w pamiętnikach Chateaubrianda) okaże się Napoleonem. Obawiano się, że Francja inkorporować będzie Niderlandy. Ostatecznie Napoleon umarł 6 lat temu, Waterloo odbyło się 15 lat temu, a przecież Francja, jak wiadomo było wówczas, jak wiadomo później i czego życzymy jej i dziś, systematycznie oddala swe granice wschodnie, (Burgundia, Flandria, Lotaryngia, Sabaudia — od Karola V do Napoleona III).

Zatem interes angielski był antyfrancuski, co nie jest dostatecznie uwydatnione w pracy T. Hołuj.

T. Hołuj trafnie wiąże angielską inicjatywę utworzenia niepodległego Królestwa Belgijskiego z interesem finansowym, bo oderwanie Belgii od Holandii zwalniało w myśl umowy Anglię od płacenia rządowi rosyjskiemu rat pożyczki holenderskiej. Otoż Polacy, jako specjaliści od niepodległości, najlepiej się nadawali do wytłumaczenia w Brukseli, że trzeba jak najprędzej założyć niepodległe państwo belgijskie. Stąd bierze się mediacja polska, a mianowicie misja specjalna hr. Załuskiego. Przyśpieszyła ona rzeczywiste zgodę de Mérode'a, Villain XIV i innych.

Talleyrand, który wówczas był ambasadorem w Londynie i do którego uciekali się pod opiekę agencji polskiego rządu powstańczego, przeprowadził mistrzowską grę. Lekomyślnie byłoby twierdzić, że w tym okresie nie był na żołdzie angielskim i zadawał się tylko pobocznymi dochodami, a więc sprzedając wina francuskiego, które sprowadzał do Anglii, oczywiście bez cła, walizką



Ludwik Widerszal

dyplomatyczną, jakoby na użytek ambasady a w rzeczywistości odstawiał je na miasto, na handel, jak o tem można czytać w zastosowanej skardze Foreign Office, skierowanej do dawnego biskupa z Autum. Wyrażono tam ubolewanie, że bez żenady wino — tak pożałowania godnej provenjencji jest do nabycia w restauracji, położonej najbliższej ambasady. (Ten drobny szczegół a pouczający nie jest zapożyczony od biografów Talleyranda, został wyjęty z akt, których nie trzeba było przeglądać do pisania życiorysu.). Dość, że w czasie powstania 1830 — 31 Talleyrand unikał Wielopolskiego, bo Wielopolski jako człowiek niesympatyczny i odrzucający powierzchowności — nie nadaje się do dyplomacji, nie chciał widzieć Niemcewicza jako człowieka złych manier, bo ten pocziwiec „śmieje się grzmotem i kicha piorunem” jak przynął po czasie sam książę Adam. Gdy Niemcewicz nachodził Talleyranda, by dowiedzieć się czegoś o przebiegu Powstania i stanie spraw europejskich, Talleyrand, albo zaskakuje go pytaniem: „Jakież nowiny?” albo odpowiada, że nie wie, bo jeszcze dziś nie czytał gazet, a na komunikowane mu wiadomości o polskich sukcesach, zawsze mawiał: „Moniteur nie pisze o tym”. Perswadował Niemcewiczowi, że tu wszystko się odbywa między najwyższą arystokracją, że może ks. Adam by co wskórał, ale nie Ursyn. Natomiast lubił Walewskiego, bo Walewski z racji swego pochodzenia był atrakcją a przede wszystkim ten agent polski miał wszystkiego 21 lat. Nadawałby się, według określenia Handelsmana, na błyskotliwego, pierwszego sekretarza jakiejś świetnej ambasady, ale nie do trudnej roli, w której był wysłany. Talleyrand tłumaczył, że Anglia to jest polano, polano rozjarzone, ale bez płomienia, bez iskierki nawet. Anglicy, są nieporuszeni są obojętni, są systematyczni i zajęci reformą wewnętrzną, zawsze zajmują się tylko jedną sprawą naraz, więc sprawa polska jest nieaktualna. A potem tłumaczył, że Polacy muszą zająć się sprawą belgijską, muszą pomóc w jej szczęśliwym rozwiązaniu i dopiero wówczas może być mowa o polskiej. W aktach rapperswilskich i obszerniejszych aktach paryskich, Biblioteki Polskiej widać całą gorliwość tej polskiej mediacji w sprawie Belgii.

Oczywiście, ustanowienie Państwa Belgijskiego zwalniało Anglię od płacenia i to był duży pretekst dla Anglii, dużo strawniejszy dla Rosji, aniżeli naruszenie Traktatu Wiedeńskiego przez Rosję wobec

Polski. Tego Polacy tamtych czasów nie wiedzieli, że Talleyrand, cały czas udający najżyczliwszego, ale nie mogącego nic zdziałać wobec obojętności angielskiej, pogrzał sprawę polską polskimi rękami, ponieważ ten sam argument nieplacenia Rosji mógłby działać na rzecz Polski a nie na rzecz Belgii. Sprawdzianem jest tu fakt, przytoczony przez T. Hołuj, że Rosja nie protestowała przeciw nieplaceniu pożyczki skoro motywem była Belgia. W ten sposób dyplomacja polska wbiła gwóźdź do trumny sprawy polskiej.

Oczywiście, że rozeznanie polskie sytuacji politycznej było fałszywe. Wówczas dla Anglii potężna Polska od morza do morza, Polska, która by zastąpiła Rosję, byłaby korzystna, ale nikt takiej Polski nie odbuduje. A Polska słaba, to wówczas lenno francuskie, mniej lub więcej przypominające Księstwo Warszawskie, a co ważniejsza lenno z nieszczęsnymi sympatiami francuskimi. Powstanie takiego państwa byłoby sprzeczne z interesem angielskim, więc lepsze już było status quo.

Po stronie polskiej nie widziano sprzeczności interesów angielsko-francuskich. Liczono na wspólny front francusko-angielski w sprawie polskiej. Poza tym nie można zapominać, że ci co wywołali Powstanie Listopadowe nie utworzyli rządu rewolucyjnego i nie mieli władzy, nie prowadzili polityki zagranicznej. Przeciwnie tej tragicznej nocy domaganie się od ludzi z autorytetem, w których normalnie godzi rewolucja, i którzy o Powstaniu nie wiedzieli, nie chcieli go, — aby stanęli na czele. Wiadomo, że prozono starych generałów, grożono im, zabijano ich, aby tylko stanęli na czele rewolucji. Wiadomo, że tej nocy, w której wszystko, jak złośliwie zauważa Wacław Tokarz, mieli już robić podporucznicy, podporucznik Władysław Zamojski namówił swego wujka, ks. Adama Czartoryskiego, żeby wraz z ludźmi znanymi w kraju, stanął u steru rządów. I Czartoryski, wbrew swym poglądom, ale żeby nikt mu nie zarzucił, że nie poświęcił wszystkiego, bo i majątku, dla kraju, utworzył rząd. Nie wierzył w Powstanie. Jak Chłopicki dla przyzwolności chciał stoczyć jakąś honorową bitwę, tak ks. Adam chciał uzyskać status quo albo coś zbliżonego do status quo. Było to stanowisko antyrewolucyjne i antypowstańcze i zmierzające do tego, żeby Powstanie zmieniło na coś możliwie łatwego do zbagatelizowania. Nic dobrego wyniknąć nie mogło z Rewolucji, na której czele nie chcieli stanąć rewolucjoniści i z wojny, której nie chcieli toczyć wodzowie mimowoli, i z dyplomacji z musu, która musiała wytłumaczyć, że ta zbrojna demonstracja odbyła się w obronie konstytucji, naruszonej przez cara, a jednocześnie nic dobrego wyniknąć nie mogło z nastrojów i z sytuacji, która nieuchronnie stawała się coraz bardziej antyrosyjska. Oto geneza minimalistycznego stanowiska ks. Adama: Traktat Wiedeński 1815.

W nastrojach powszechnych rej wodzilo zdanie, które towarzyszyło wszystkim powstaniom polskim, które znany wszyscy z 1944 roku: tu w Warszawie wystarczy zapalić browar na Solcu, wystarczy zamarkować ruchawkę, bo powstanie ma być tylko pretekstem dla Anglii i Francji, które poszukują tylko tego pretekstu do interwencji zbrojnej. A właśnie te mocarstwa nie chciały żadnych wystąpień przeciw Rosji, były pokojowo i antyrewolucyjnie nastrojone. Ponadto głośna książka Flessana o Kongresie Wiedeńskim narobiła zamęt w głowach. Ludzka Polaków — zresztą i później — o propolskich tendencjach Austrii, która gotowa była zrobić wszystko dla niepodległości Polski, łącznie z poświęceniem Galicji.

W ogólnym rozbiórce sytuacji zrozumiałe jest stanowisko angielskie, oceniające pozytywnie znaczenie Rosji w Europie, szacujące Rosję jako przeciwwagę Francji na kontynencie. Pamiętajmy, że rzecz dzieje się przed zjednoczeniem Niemiec, które zmienią układ sił w Europie, z czego nie zdawano sobie w Anglii sprawy, ani odrazu, ani po pierwszej wojnie światowej, ani zdaje się po drugiej wojnie

światowej. Pamiętajmy także, że nie od razu zdawano sobie w Anglii sprawę ze sprzecznych interesów angielsko-rosyjskich na Bliskim Wschodzie. Musiała dojrzeć sprawa polska i Hotel Lambert musiał zacząć uczyć Foreign Office spraw bałkańskich i kaukaskich. Wtedy dopiero stosunki angielsko-rosyjskie się skomplikują, ale nawet wówczas, gdy dojdzie do wojny z Rosją, będzie to wojna wschodnia a nie europejska, będzie to wojna ekspedycyjna, zlokalizowana na Krymie, a Polska pozostanie poza teatrem. To Austria „neutralna”, okupując nominalnie lenna tureckie, pozostające pod wpływem rosyjskim, a mianowicie Moldawie i Wołoszczyźnie, uniemożliwi przetrwanie się wojny na ziemi polskiej. Anglia i Francja starają się pozyskać Austrię dla koalicji. Nie można tego dokonać stwarzając możliwość odbudowy Polski, t. j. odebrania Galicji. Nie można było robić sobie wroga z Prus, gdy prowadziło się wojnę. Zresztą ta wojna krymska, podjęta, według powszechnego zdania, nie wiadomo po co, wojna prestiżowa, której nie można było zakończyć, a która była dotkliwa, bo wówczas poraż pierwszy ukazały się w gazecie korespondencje z frontu, opisujące ludzkie cierpienia — rzecz, o której przedtem nie wiadano, że na wojnie się zdarza, ta wojna od początku miała tendencję by stać się małą wojną na Krymie, a nie wielką wojną kontynentalną.

To starczy aby podkreślić zasadniczą prorosyjskość w polityce zagranicznej Anglii w czasie Powstania Listopadowego.

Inna sprawa to stosunek ustroju angielskiego do polityki rosyjskiej, o czym później. Żaden uczciwy człowiek, żaden obywatel wolnego kraju nie mógł aprobować rozbiórów Polski i systemu politycznego caratu. Stąd ton i sposób odnoszenia się do Polaków, do sprawy polskiej, tak, jak do sprawy ludzkości. Stąd w polityce zagranicznej Anglii stosuje do sprawy polskiej szczególną kurtuazję w doborze określeń szlachetnie — w czasach, kiedy politykę zagraniczną cechowała kurtuazja w ogóle. Ale przyznać trzeba, że ze strony angielskiej w ciągu XIX wieku nie było w stosunku do sprawy polskiej żadnych wiążących zobowiązań, ani słów zachęty, ani nawet nieudolnych, budzących nadzieję oczekiwań. Przeciwnie, była powściągliwość w tych ostrożnych sformułowaniach. To jest sprawa formy, bo treść pociągałaby za sobą zobowiązania angielskie, sprowadzające wojnę.

Natomiast ze strony polskiej dyplomaty, co to znaczy konserwatywnej, Hotelu Lambert, były wysiłki forsujące rękę Anglii i co za tym idzie skompromitowania Anglii wobec Rosji. To się udać nie mogło i dlatego polityka Ks. Adama była bezowocna. I książę Adam zdawał sobie z tego sprawę. Dobrze wiedział, że ogólna okoliczność europejskie muszą się odmienić, aby mogła być mowa o niepodległości polskiej. Jemu, bez względu zatem na wyniki doraźne zabiegów, chodziło o to, aby przemycić w stosunki międzynarodowe polską dyplomację (conservateur l'oreille des cabinets) i aby utrzymać zawiązek polskiego wojska, utrzymać kadre oficerską i podoficerską, przechować rzemiosło żołnierskie i przeciwstawiać się na każdym polu polityce rosyjskiej. Był w tym głęki, więc przetrwał się od działań w obronie Turcji przeciw Rosji do działań antytureckich po stronie Egiptu, czy Słowian bałkańskich. Czartoryski był młodym, bardziej znającym życie i politykę, aniżeli przyrzecza T. Hołuj, ale też miał i mniejszą władzę nad obcymi. Miał bardzo szczepłą powierzchowność dla meza stanu, postawę wspaniałą, jeśli rzecz można, patetyczną. Onieśmielający, doskonały rodzaj konwersacji, zapatrzonny w dowcip, gdy to użyteczne, dar korespondencji. Gdy w witolodowym kółku i purpurowym płaszczu, podzitym gronostajami, przyjmował w Hotelu Lambert, nikt nie widział sztucznych spódni, które wystawały z pod tych książęcych strojów, i nikt na ten widok nie parsknął ze śmiechu. Był zawsze bardzo stary, a w ustroju ustabilizowanej hierarchii społecznej, fakt, że było się już ministrem, znaczy więcej niż, że się jest ministrem u władzy. Bo to oznacza doświadczenie i autorytet, a właśnie u takiego człowieka zasięga się opinii w czasach poprzedzających wynalazek burokracji, która ludźmi poinformowanymi zastąpił samodzielną myślących i utalentowanych. Otóż książę Adam, który ministrem był już na początku wieku i uczestniczył w Kongresie Wiedeńskim i wywarł wpływ na Kongres Wiedeński, po śmierci Talleyranda był nestorem europejskiej dyplomacji, był dziekanem ze starszeństwem (doyen d'age) światowego korpusu dyplomatycznego — tak tłumaczył niezwykłą pozycję księcia Adama — Handelsman.

Przebieg ranga ambasadora jest najwyższą w hierarchii dyplomatycznej, udzielana rzadko, przysługująca z reguły tylko przedstawicielom zaprzyjaźnionych i wielkich mocarstw i przywiązane są do tej rangi ceremoniały te same, co należą głowom państw. Tymczasem rząd angielski odmówił wszystkim wysłannikom polskim przyjęcia listów uwierzytelniających, które też bezowocnie spoczywały w aktach polskich a nie w aktach Foreign Office. Rząd angielski zgodził się przyjmować agentów polskich tylko jako osoby prywatne i nie uznał by nigdy Rządu Narodowego 1830—1831 r. (Nasza historiografia nie chciała widzieć tej brutalnej prawdy). To unikanie oficjalności przez Anglię przejawiało się także w tym, że po Powstaniu rząd angielski wahał się z mianowaniem konsulów na naszych ziemiach, chociaż konsulowie to nie przedstawiciele polityczni a handlowi i emigracyjni. A jednak wiadomo było, że na ziemiach pol-

naniu z mocarstwem brytyjskim. Grupowały się mogły koło Polski, gdyż Polska miała siłę zmiążdżenia Anglii. Dopóki tak nie jest sposób mówienia T. Hołuj jest niecisły. Jak będzie o tym mowa niżej, to raczej agenci polscy okażą się satelitami polityki angielskiej. Że angielscy mężowie stanu nie stanowili czołowej grupy interwencyjnej, udawadnia w dalszym ciągu swego tekstu sam T. Hołuj, opisując jak się wymawiali, nie przychodzili na posiedzenia Izby, drzemali. „Charakterystyczną postacią tych czasów... był... jeśli chodzi o stosunek do Polaków, typ polityka w rodzaju lorda Henryka Broughama, preza Izby Lordów, przyjaciela czartoryszczyzny z okresu Kongresu Wiedeńskiego”. Co to było „czartoryszczyzna” tegoż żaden Anglik nie zrozumiał. W każdym razie gdyby mu to próbować wytłumaczyć, miałyby sobie za nie tego rodzaju nikłą siłę, a czartoryszczyznę w okresie Kongresu Wiedeńskiego mógłby tylko nazwać dość charakterystyczną sytuacją, która pozwalała księciu Adamowi połączyć przyjaźń z Cesarzem z romanssem z Cesarzową. Najfałszywsze w tym ujęciu jest nie tylko mniemanie o istnieniu jakiejś masonerii salonowej, w której jakiś człowiek prywatny miałby władzę nad meżami stanu wielkiego mocarstwa, ale i niedocenianie prorosyjskości polityki angielskiej, zaliczanie premiera Greya do polonofilów i interwencjonalistów, podczas gdy Grey to był zdecydowany rusofil i na dobitkę pod pantoflem ambasadorowej rosyjskiej, księżny Lieven, wobec której był związany dodatkowymi zobowiązaniami. Stary Grey był przez babę Lieven (inaczej nie nazywała jej nasz Niemcewicz) dopilnowany seksualnymi zobowiązaniami. A książę Lieven był tym, co w języku dyplomatycznym ma określenie ustalone: quantite negligible. Był w każdym tego słowa znaczeniu rogaczem. Nie tylko w domowym i w światowym znaczeniu wyrazu, ale przede wszystkim — to nas tu obchodzi — w politycznym. Ponieważ księżna była córką szefa żandarmów, generała Benckendorfa stąd też pozycja jej w Petersburgu była wyjątkowa. Pozycja jej meża była humorystyczna, o czym wszyscy wiedzieli. T. Hołuj jest pierwszym, który poważnie bierze księcia Lievena. Księżna nie była w niczym podobna do tajnego agenta (określenie Hołuj) i jeśli kiedy nazwa „Ambassadrice” ma znaczenie dosłowne, to właśnie w tym wypadku. Stąd książę nie miał nic wspólnego z tym co zwykło się określać, szarą emulacją. Ona „ujawniła się” i nic nie miała wspólnego z takim np. zakonikiem O. Józefem ani z Rzeczywistym Tajnym Radcą Stanu Holssteinem, o których istnieniu wielu ludzi nie wiedziało.

Nazywając Lievenową tajnym agentem, a Walewskiego ambasadorem sprawy polskiej stwarza się sugestię oficjalności, wystawność jego roli. Taka sugestia a przecież każdy pisarz działa również takimi sposobami, jest opaczna, i tym dobitniej trzeba ją wytknąć, bo tego rodzaju gwroty, uchodzące najczęściej urzędem decydują o pojęciu, które pozostaje w przekonaniu czytelnika.

Przebieg ranga ambasadora jest najwyższą w hierarchii dyplomatycznej, udzielana rzadko, przysługująca z reguły tylko przedstawicielom zaprzyjaźnionych i wielkich mocarstw i przywiązane są do tej rangi ceremoniały te same, co należą głowom państw. Tymczasem rząd angielski odmówił wszystkim wysłannikom polskim przyjęcia listów uwierzytelniających, które też bezowocnie spoczywały w aktach polskich a nie w aktach Foreign Office. Rząd angielski zgodził się przyjmować agentów polskich tylko jako osoby prywatne i nie uznał by nigdy Rządu Narodowego 1830—1831 r. (Nasza historiografia nie chciała widzieć tej brutalnej prawdy). To unikanie oficjalności przez Anglię przejawiało się także w tym, że po Powstaniu rząd angielski wahał się z mianowaniem konsulów na naszych ziemiach, chociaż konsulowie to nie przedstawiciele polityczni a handlowi i emigracyjni. A jednak wiadomo było, że na ziemiach pol-

GEORG LUKACS

Powieść jako mieszczańska epopeja (V)

(dokończenie)

GDY ZNIKA prawdziwa typowość z charakterów i sytuacji, pojawia się wówczas fałszywy dyalekt; albo banalna „przeciętność”, albo cokolwiek, byle „oryginalne” i „interesujące”. W związku z tym błędnie postawionym dylematem współczesna powieść oscyluje pomiędzy dwiema równie fałszywymi skrajnościami: „naukowością” i irracjonalizmem, nagłego faktu i symbolu, dokumentu i „duszy” albo nastroju. Oczywiście, nie brak i prób powrotu do prawdziwego realizmu. Ale próby te tylko w bardzo rzadkich wypadkach prowadzą dalej niż pewne zbliżenie do realizmu Flauberta. I nie jest to sprawa przypadku. Zola, jako uczeniwy pisarz, mówi o swojej pracy w późniejszych latach: „Jakikolwiek temat próbowałem pogłębić, wszędzie natrafiałem na socjalizm”.

We współczesnym społeczeństwie pisarz nie musi wcale podejmować bezpośrednio tematu klasowej walki proletariatu, aby natrafić na centralny problem epoki, na zagadnienie walki kapitalizmu i socjalizmu. Ale na to, aby ogarnąć całość, występujących tutaj, zagadnień, pisarz musi wyrwać się z zaczarowanego kręgu upadającej mieszczańskiej ideologii. Zdolnych jest do tego tylko niewiele, reszta zostaje w tym coraz ciśniejszym, pełnym sprzeczności kręgu. Ideologia ustępującej burżuazji przybierająca charakter apologetyczny, coraz bardziej ograniczoną sferę twórczej działalności pisarza.

Nie możemy dać tutaj, choćby nawet w

skich muszą mieć polityczny i wojskowy charakter, więc Anglia mianując po namyśle, czy pozostawiając nieobsadzone konsulatory, nadała polityczną wymowę nawet tym posunięciom, którym Rosja formalnie nie mogła mieć nic do zarzucenia.

Jeśli dla zasadniczej prorosyjskości w polityce zagranicznej Anglii musieliśmy znaleźć ogólne słowa, od których nie rumieniłyby się obywatel wolnego kraju, to już nie tylko platoniczne umiłowanie wolności, ale sam ustrój polityczny Anglii musiał potępić polityczny system caratu. Ale prorosyjskość w zagranicznej a propolskość w wewnętrznej, te niewątpliwe antynomie polityki angielskiej (co nie bije w oczy w ujęciu T. Hołuj) uwydatniają wyrobienie polityczne i dyscyplinę społeczną Anglików: antynomie te nie tylko nie doprowadziły do kryzysu, ale praktycznie nie dawały skutków. Będąc ściśle rozgraniczone wyszły tylko na dobre i ustrojowi i dyplomacji, wydoskonalały je. Tak jak Rosja uważała zawsze sprawę polską za swą wewnętrzną sprawę tak wedle formuły Wiederszala sprawa polska była tylko sprawą wewnętrzną Anglii. Był to tylko sposób, którym opozycjoniści, zarówno whigowie jak i torysi, dokuczali rządowi. Jak niewinnie dokuczali, jak niechętnie na przestrzeni lat 1830—40, przedstawił T. Hołuj. To trzeba podkreślić. Nikt miarodajny w sprawie Polski w parlamencie wystąpić nie chciał. Płk. Evans, Ferguson to byli ludzie niepoważni. Z tego zdaje sobie sprawę nawet Niemcewicz. I na tym polega dyscyplina społeczna angielska. W parlamencie wypowiedział się to, co nurtowało opinię publiczną, wypowiedziano to przez usta ludzi niepoważnych, więc w ten sposób, żeby stąd nikt nie mogło praktycznego wynikać, a dał się słyszeć wtrącający serca głos sumienia. Wszyscy się wyszumiełi, wyładowali, wyładowali się nastroje, bo do tego służy parlament angielski. Późem rząd robi swoje po dawnemu, bez zmian. Na tym polega angielska równowaga władz, mówienia i działania, równowaga dwóch rzeczy bez związku. Ten system parlamentarnej kłapy bezpieczeństwa u opinii publicznej trwa pewnie w Anglii po dziś dzień. Kiedy w roku 1935 Anglia doznała klęski w sprawie abisyńskiej, w parlamencie była burza. Nawet ustąpił minister spraw zagranicznych, ale jego na stopka Eden robił to samo co sir Samuel Hoar.

Po zgnieceniu Powstania Listopadowego sprawa polska stała się w bardziej bezpośrednim znaczeniu sprawą wewnętrzną angielską. Pomoc dla powstańców polskich była sprawa humanitarna. I tu znów trzeba dopowiedzieć. Anglii z pomocą dla emigrantów polskich gałtawili się zresztą i tancerz Francuzi. Wydał w sumie mniej pieniędzy i nie ścigał na siebie tych wyrzekań, które i dziś każdy Polak powtarza czytając „Pana Tadeusza”. Poprostu płacił emigrantom stosunkowo wysokie zapomogi, ale za to miał tę przeczność, że wpuścił do Anglii śmiezną garstkę Polaków, którzy oczywiście nie mieli powodu do niezadowolenia. To wynika z za- stawień Wiederszala.

Dopiero znacznie później, gdy w połowie XIX wieku Anglia będzie w wojnie z Rosją, rząd, który dokucza Rosji wysunie sprawę polską, nadając jej pozór zagadnienia międzynarodowego. Wówczas lord Dudley Stuart wejdzie do rządu w randze ministra w nieokreślonym charakterze, ale wróble na dachu na „Downing Street 10” będą ówierkać, że to minister do spraw polskich. Oczywiście, że naprzykład po sukcesach wiosennych 1831 roku agenci polscy traktowani będą poważniej, bo trzeba będzie i Anglii brać w rachubę możliwość zwycięstwa polskiego, więc i agenci polscy będą depeszowali (depesza jest starsza od telegrafu), „potrzeba nam bitwy wygranej”. I wtedy mogła by być mowa o interwencji

angielskiej, czy wspólnej angielsko-francuskiej, ale nie interwencji zbrojnej a tylko dyplomatycznej. I zgóry się zastrzegano przed Polakami, że interwencja ta może być tylko w formie przyjaźnej — zresztą lord Heytesbury, ambasador rosyjski w Petersburgu, gwarantował swą prorosyjskością, że nie niebezpiecznego z tych interwencji nie wyniknie. Uważano także, że ambasador angielski w Petersburgu złoży może notę, gdzie wyszczególnione będą wypadki naruszenia Traktatu Wiedeńskiego przez Rosję, bo Anglia była sygnatariuszem tego traktatu. Wedle niego car miał nadać Królestwu Polskiemu konstytucję, ale prawnicy Korony orzekli, że nie ma zastrzeżenia, wedle którego car nie miałby prawa zmienić tej konstytucji. Oczywiście po klęsce polskiej rząd angielski nadal acz niechętnie rejestrować będzie naruszenie prawa przez cara. To mogło upoważniać Anglię do wojny, ale nie mogło do tego zmuszać. Anglia do sprawowania polityki międzynarodowej nie była obowiązana. Nie też dziwnego, że Palmerston w wersji podanej przez T. Hołuj stwierdził w parlamencie naruszenie prawa, ale diariusz Izby Gmin pominął gwałtowne jego słowa. Pamiętajmy bowiem, że w polityce każdy traktat, jeśli ma moc wiążącą — to chyba wstecz, bo jego praktyczna skuteczność na przyszłość jest wątpliwa. W polityce — tak uczył Handelsman — nie zobowiązania tworzą fakty, lecz fakty tworzą zobowiązania, o czym zapominają nasi mężowie stanu”.

Gdy zawiadła akcja polska u rządu Polacy zaczęli wpływać na opinię publiczną poprzez mityngi i prasę. Aby ocenić należyte to ówczesne nasze wysiłki wystarczy przytoczyć słowa Cara już po upadku Powstania, po manewrach modlińskich. Car, widząc konsula angielskiego, wyciągnął doń rękę, mówiąc: „Zostajemy przeciwci nadal najlepszymi przyjaciółmi pomimo gazet” — i w tym „malgré les gazettes” jest właśnie wszystko to co Polacy zrobili wówczas w Anglii w opinii publicznej, i największą część zasługi przypada na Niemcewicza. Ale trzeba odróżnić sukces pośród niemiarodajnej opinii publicznej od niepowodzenia u decydującego rządu. A przede wszystkim trzeba pamiętać, że Izba Gmin nie wyrażała opinii publicznej, bo była przed demokratyczną reformą wyborczą. Właśnie dopiero wówczas, właśnie w okresie Powstania Listopadowego opracowywane było nowe prawo wyborcze i właśnie ten bill utrudniał parlamentowi interesowanie się polityką zagraniczną, bo Anglii interesują się zawsze tylko jedną sprawą.”

Polityka konserwatywna, polityka Ks. Adama obciążona była na to, że przyszłość jest nieodgadniona, więc w zmienionych warunkach Czartoryski pozostający w najlepszych stosunkach z głowami koronowanymi, ogłoszony przez swoich „królem polskim de facto”, Czartoryski z własnym rządem, dyplomacją i wojskiem, powrócił na ziemię polską, stanowiąc będzie o państwie polskim. I temu wszystkiemu przeciwni byli demokraci. Byli przeciwni dyplomacji i temu by stać na stanowisku Traktatu Wiedeńskiego. Nie oczekiwali niczego od gabinetów i negocjacji a tylko od postępu społecznego, obalenia trzech tronów cesarskich. To też wystąpienia w Izbie Gmin inspirowane przez konserwatyistów będą jakościowo odmienne od inspirowanych przez demokratów. Demokraci nie liczyli na żaden praktyczny skutek na dziś. Ich maksymalistyczne żądania były niewykonalne a wystąpienia O'Connella kogoś kto jest Irlandczykiem, a więc zapalonym, są dla Anglików wstrętne. To była tylko demonstracja, tylko dezaprobata właściwie tego wszystkiego co się na świecie działo. I nie dziwnego. W ustroju konserwatywnym demokraci inaczej przemawiać nie mogli.

Adam Mauersberger.

przełożył JAN KOTT

zistości i żywości opowiadania. Jedni pisarze uciekają od kapitalistycznej rzeczywistości na wieś wystylizowaną na coś najbardziej dalekiego od kapitalizmu (Hamsum), albo też w nieopanowany jeszcze przez kapitalizm świat kolonii (Kipling); inni próbują ze względów estetycznych rekonstruować zasady dawnej sztuki narracyjnej i sztucznie odbudować powieść jako dzieło sztuki (ujęcie opowiadania w ramy, dekoracyjna i historyczna stylizacja w duchu Konrada Ferdynanda Meyera itp.).

Występują oczywiście również i tacy pisarze, którzy dokonują heroicznej próby popłynięcia przeciw prądowi, próby ocalenia, albo wskrzeszenia wielkich tradycji powieści na podstawie uczciwej krytyki współczesnego społeczeństwa. W miarę — z jednej strony — pogłębiania się sprzeczności i upadku kapitalistycznego ustroju, z drugiej — zwycięskiego umacniania się socjalizmu w ZSRR, w miarę wzrostu rewolucyjnych nastrojów wśród inteligencji, najlepsi przedstawiciele zachodniej literatury zrywają z burżuazją, co otwiera dla ich twórczości również i szerokie perspektywy w dziedzinie powieści.

Perspektywy socjalistycznej powieści.

Już wyżej wskazywaliśmy na rolę, jaką odegrało w postępującym upadku mieszczańskiej powieści historyczne wystąpienie proletariatu. Dojrzwiałe klasowe świadomości proletariatu w drodze jego rewolucyjnego rozwoju wywołuje powstanie we wszystkich dziedzinach kultury, tak samo jak w dziedzinie powieści, nowych zagadnień i no-

wych estetycznych metod ich rozwiązania. Sprawa ponizenia człowieka w kapitalistycznym społeczeństwie — stwierdzaliśmy to już wyżej — stać się musiała w sposób nieunikniony centralnym zagadnieniem całej estetyki powieści.

Odmienne stosunek mieszczaństwa i proletariatu do społecznej degradacji ludzi w kapitalistycznym społeczeństwie Marks charakteryzuje w sposób następujący: „Klasa posiadająca i klasa proletariacka przedstawiają to samo wywłaszczenie człowieka. Ale pierwsza — czuje się w tym wywłaszczeniu zadowolona i utwierdzona, widzi ona w tym wywłaszczeniu świadectwo swojej mocy i dzięki niemu posiada pozór ludzkiego istnienia; druga zaś czuje się w tym wywłaszczeniu unicestwiona, widzi w nim woję bezsilność i rzeczywistość nieludzkiego istnienia. Klasa ta, aby posłużyć się wyrażeniem Hegla, jest w swoim wydziedziczeniu buntem przeciwko wydziedziczeniu, buntem, do którego nieuniknienie doprowadzają sprzeczności pomiędzy ludzką naturą, a jej sytuacją życiową, która jest jawnym, zdecydowanym i całkowitym zaprzeczeniem tej samej natury.” (Marks i Engels. Pisma t. III. Wyd. ros.).

Dlatego też proletariatu za swoją rewolucyjną klasową świadomością przygotowany jest do zrozumienia całej dialektyki kapitalistycznego rozwoju; klasa robotnicza widzi w nędzy swojego istnienia „rewolucyjny i burzący czynnik”, który obali całe stare społeczeństwo. Wie ona również, że najgorsze strony kapitalizmu wywołują ruch rewolucyjny tworzą historię przez to właśnie, że rodzą walkę.

Z tej uwarunkowanej klasowo i ze względów zasadniczych nowej pozycji proletariatu wobec sprzeczności kapitalistycznego społeczeństwa wynikają, w związku z odpowiadającymi im przemianami powieści, niezmiernie ważne nowe zagadnienia formy. Dla proletariatu, a więc i dla socjalistycznego powieściopisarza, społeczeństwo nie jest „gotowym” światem zastygłych przedmiotów; klasowa walka proletariatu rozwija się w świecie heroicznej działalności człowieka.

Już na przykładzie mieszczańskiej powieści widzieliśmy, do jakiego epickiego napięcia prowadziła walka człowieka o swój materialny byt i duchowe zadowolenie, dopóki mogła być jeszcze śmiało prowadzona przeciwko feudalnej lub kapitalistycznej niewoli. Patos tej walki staje się jeszcze silniejszy dla proletariatu, i to nie tylko dlatego, że byt pracującej jednostki jest jeszcze bardziej zagrożony w ustroju kapitalistycznym, ale również dlatego, że walka przeciwko temu wiecznemu zagrożeniu indywidualnego bytu jest nierozdzielnie złączona z ogólnymi zagadnieniami całej klasy robotniczej, z wielką sprawą przemiany społeczeństwa. Walka o swój własny byt nieuchronnie przemienia się u proletariatu w walkę o rewolucyjną organizację całej klasy robotniczej, o obalenie kapitalizmu. Tworzenie klasowych organizacji proletariatu jest dziełem jego heroicznej aktywności. Te heroiczne aktywności wznaga jeszcze ta okoliczność, że walka proletariatu jest jednocześnie procesem powrotu do człowieczeństwa degradowanych przez kapitalizm pracujących.

Dialektyka odrodzenia człowieka przez pracę i walkę powtarza się tutaj na wyższym stopniu historycznego rozwoju. Jeżeli, według słów Marksa, „wychowawca musi zostać sam wychowany”, to proces ten nie jest teraz przygotowaniem do prozy mieszczańskiego życia, jak tego wymagał Hegel od mieszczańskiej powieści, ale wprost przeciwnie nieustająca walka aż do zniszczenia ostatnich śladów ponizenia człowieka w społeczeństwie i w samym człowieku. Z sytuacji tej wynika samo przez się, że proletariusz prowadząc taką walkę stać się musi bezwarunkowo „dodatnim” bohaterem.

To nowe zbliżenie do eposu stanie się jeszcze jaśniejsze, jeżeli przypomniemy, że nawet w największych mieszczańskich powieściach obiektywne społeczne problemy wyrażone mogły zostać jedynie drogą okólną, za pomocą przedstawienia walki jednego jednostek z drugim; tutaj, w klasowej organizacji proletariatu, w walce klasy przeciwko klasie, w kolektywnym heroizmie pracujących, pojawiają się elementy stylu, bliskiego aktywnemu eposowi, pokazana jest tutaj walka jednej społecznej formacji z drugą. Historyczne znaczenie Maksyma Gorkiego polega właśnie na tym, że zrozumiał on wszystkie nowe dążenia, wynikające z historycznej sytuacji proletariatu i wyraził je w artystycznie skończonej formie.

Zaznaczone odrębności klasowe rozwoju proletariatu znajdują jeszcze pełniejszy wyraz po jego zwycięskim dojściu do władzy. Zwycięski proletariatu, po przejęciu władzy w państwie, prowadzi dalej walkę o wykończenie śladów klasowego społeczeństwa. Zdobyte władzy w państwie, dyktatura proletariatu, planowe socjalistyczne przekształcenie gospodarki, usunięcie ekonomicznych sprzeczności, które istniały w kapitalizmie itd. — wszystko to doprowadza i w dziedzinie powieści do wielu podstawowych przemian tematyki i formy. Socjalizm niszczy, mającą charakter fetysza, „bezosobowość ekonomicznych kategorii i społecznych urządzeń. Przejmują one ich pseudo-niezależność, ich faktyczną sprzeczność z interesami mas pracujących. „Państwo — to my” (Lenin). Walka z ponizaniem człowieka przekształca się jakościowo, przechodząc na wyższe stadium, na którym zwrócona jest bezpośrednio przeciwko obiektywnym czynnikom tego ponizenia, (przedział pomiędzy miastem a wsią, między pracą fizyczną a umysłową itd.) Klasowej walce w dziedzinie ekonomiki towarzyszy ideologiczna walka z przeżytkami starego społeczeństwa w świa-

domości ludzkiej. Dawna niewiara w dzień jutrzejszy przestaje istnieć, co pozwala wykorzystać te postaci ideologii, które nieuchronnie musiały się rozwijać na podstawie tej niewiary (religia). Klasowa walka o bezklasowe społeczeństwo jest nierozdzielnie złączona z rozwojem licznych form nowej działalności i aktywności, nowego heroizmu pracujących, jest ona nierozdzielnie złączona z walką o nowego człowieka, o wszechstronny rozwój człowieka.”

Te wszystkie momenty rozwoju tworzą w realistycznym socjalistycznym całkowicie nowy typ powieści. Ale pomieszały byśmy perspektywy rozwoju z samym rozwojem, gdybyśmy widząc zwycięstwa dzisiejszego dnia zapomnieli o walce, o zewnętrznych i wewnętrznych przeszkodach, gdybyśmy na miejsce skomplikowanych i zawiłych dróg, wyznaczonych przez obiektywną dialektykę klasowej walki i budowy socjalizmu, wprowadzili jakąś utopijną, prostą linię.

I właśnie dlatego trzeba jasno zdać sobie sprawę że chodzi tutaj o dążenie do eposu. Walka proletariatu o „przewycięzenie przeżytków kapitalizmu w ekonomice i świadomości ludzi” rozwija nowe elementy eposu. Budzi ona uśpioną dotąd, zdeformowaną i skierowaną na fałszywą drogę energię milionowych mas, ukazuje w ich środowisku przodujących ludzi socjalizmu, prowadzi ich do czynów, które odznaczają zdolności, o których sami przedtem nie wiedzieli i tworzą z nich przywódców idących naprzód mas. Ich wyróżniające się indywidualne wartości polegają właśnie na tym, aby realizować w jasnej i wyraźnej formie społeczne budownictwo. W coraz wyższym stopniu przybierają oni charakterystyczne cechy epickich bohaterów.

Ten nowy rozwój elementów eposu w powieści nie jest prostym artystycznym odwołaniem form i treści dawnego eposu (cho-

by na przykład mitologii), wynika on w sposób nieunikniony z rodzącego się bezklasowego społeczeństwa.

Nie zrywa on związków z rozwojem klasycznym powieści, ponieważ budowa nowego i burzenie starego są nierozdzielne, dialektycznie ze sobą związane. I właśnie przez udział w walce o socjalistyczne budownictwo ludzie przewycięzają istniejące w nich jeszcze ideologiczne przeżytki kapitalizmu. Literatura ma za zadanie pokazać nowego człowieka w jego jednocześnie indywidualnej i społecznej konkretności. Powinna ona przyswoić bogactwo i wielostronność budownictwa socjalistycznego dla twórczości artystycznej.

„Historia w ogóle, zaś historia rewolucji szczególnie jest zawsze o wiele bogatsza w treści, bardziej różnorodna, bardziej wielostronna, żywsza i bardziej „chytła”, to wyobrażają sobie najlepsze partie, najbardziej świadome awangardy przodujących klas” (Lenin, Dzieła zebrane tom XXV, wyd. ros.). Zadanie powieści w okresie budowy socjalizmu polega na konkretnym przedstawieniu tego bogactwa, tej „chytrości” historycznego rozwoju, tej walki o nowego człowieka, o wykorzystanie każdej formy ponizenia.

Literatura realizmu socjalistycznego rzeczywiście uparcie i uczciwie walczy o nowy typ powieści, i w walce tej o nową artystyczną formę, o powieść, zbliżającą się do wielkości eposu, broni jednocześnie stanowczo istotnych cech powieści i jej poważnych zdobyczy, które zostały już osiągnięte (Szolochow, Fediejew i inni).

Nowy stosunek powieści w okresie socjalistycznego realizmu do problemu stylu epickiego nadaje zagadnieniu kulturalnego dziedzictwa na tym etapie rozwoju zupełnie szczególne znaczenie. Metoda socjalistycznego realizmu wymaga najbardziej energicznego wydobycia dialektycznej jedności indywidualnego i społecznego, osobistego i typowego w człowieku. Choćby najbardziej różniły się społeczne wa-

runki mieszczańskiego realizmu od warunków rozwoju realizmu socjalistycznego, wszyscy starzy realizmi z ich nieustraszoną odwagą w stawianiu i rozwiązywaniu zagadnień, tworzą to literackie dziedzictwo, którego krytyczne przyswojenie ma zasadnicze znaczenie dla socjalistycznego realizmu. Przeswojenie dziedzictwa tego wielkiego realizmu musi być oczywiście krytyczne, oznacza ono przede wszystkim pogłębienie artystycznych metod realizmu. A dalej, z nieuniknionym rozwojem socjalistycznej powieści ku epickiej formie, wynika żądanie aby antyczny epos i jego teoretyczne opracowanie włączone zostały jako ważny wkład do programu przyswojenia kulturalnego dziedzictwa.

Literatura realizmu socjalistycznego była w tym szczęśliwym historycznym położeniu, że jej wielki mistrz i przywódca, Maksym Gorki, był żywym i pośredniczącym ogniwem pomiędzy tradycjami dawnego realizmu i perspektywami realizmu socjalistycznego. Rosyjska literatura nie przeszła przez długotrwałe panowanie dekadyzmu, które nastąpiło na Zachodzie w latach przejściowego ucieszenia. Maksym Gorki był jeszcze w bezpośrednich i nawet osobistych stosunkach z ostatnimi klasykami starego realizmu (Tolstoj). Twórczość Gorkiego jest żywym przedłużeniem wielkiej tradycji realistycznej powieści i jednocześnie ich krytycznym opracowaniem w związku z perspektywami rozwoju realizmu socjalistycznego.

Georg Lukacs tłumaczył Jan Kott

*) Rozprawa Lukacsa „Powieść jako mieszczańska epopea” drukowana była w dziewiątym tomie Encyklopedii Literackiej (Literaturnaja Enciklopedia), wydanym w Moskwie w roku 1935. Wejdzie ona w skład tomu rozpraw Lukacsa, którego przekład przygotowany przez Instytut Badań Literackich, ukaze się wkrótce nakładem Sp. Wyd. „Książka”.

ANDRZEJ BRAUN

OPOWIADANIA ARAGONA^{*)}

CZESŁAW MIŁOSZ w swym „Liście półprywatnym o poezji^{**)}” pisał, że dopóki nie dostaliśmy do rąk książek pisarzy francuskich z czasów okupacji, nigdy nam do głowy nie przyszło, żeby tak pisać o wojnie.

Słowa te odnoszą się do powieści Aragona, jednakże sędzę, że można by je zastosować z równym powodzeniem także do jego prozy. Pierwszym wrażeniem po przeczytaniu opowiadań okupacyjnych Aragona jest wrażenie nowości w sposobie komponowania i przedstawiania akcji.

Wojna we Francji, dzieliła się na dwa okresy, podobnie jak i u nas: nie zaczęła się w 1939 roku. Toczyła się już w Hiszpanii, toczyła się na frontach strajkowych, przez lata trzydzieste, wyrażała się rozgorczyeniem i oburzeniem ludu francuskiego po Monachium; pierwszy narzucono ludowi francuskiemu przez tchórzliwą i ślepa politykę rządu, z góry przegrany, dławiący niezasłużoną hańbą, przynoszący w wyniku klęskę i niewolę, oraz drugi, okres budzenia się ducha narodowego i przejęcia przez proletariatu roli najszerzej pojętego reprezentanta narodu francuskiego w walce o wolność, ukazujący wielkość tego narodu. Te, w skrócie wymienione procesy i fakty są szkieletem konstrukcyjnym i ideowym opowiadań Aragona. Wszystko to jest tam powiedziane. Jak? Przyjrzyjmy się z bliska. Przede wszystkim mamy tu ściśle związane akcji z tym sytuacyjnym, terna polityczno-społecznym, robione w bardzo zwięzły i trafny sposób. Np.:

Aragon przeprowadza naogół w kilku słowach charakterystykę człowieka, jego poglądów i jednocześnie sytuacji politycznej. Np. „Potem przyszło drugie dziecko, córka, było to w 36, w czasie strajków. Dostrzegłem Emilia na jednym z tych niezwykłych zgromadzeń — koncertów, gdzie artyści śpiewali dla strajkujących. Wydawało się, że się śmieją bawi. „Jak to Emil, pan teraz strajkuje?” — O, tak, panie Julep, robi się to co wszyscy. Nie wolno zdradzać towarzyszy. Musiał to być wpływ jego zwągrza” (komunisty).

Gdzie indziej: „Postanowili zaadoptować hiszpańskie dziecko, miało się do tego prawo w Paryżu... „Co robicie, czyście oszaleli, brać sobie obce dziecko na kartki?” Rosette uśmiechnęła się i powiedziała: „Kiedy jest na dwoje, starczy na troje”... Tym razem już na pewno musiał im to zwagier wbić w głowę. Dalej:

„Nie pozwolono zresztą Paryżanom przyjąć małych Hiszpanów. Mówiłem o tym raz jeszcze z Emilem w autobusie do Vincennes. Potrzeba głowa. „Powinno było się ich przyjąć... Za nas zdychali”... Propaganda dzisiaj na tych ludzi”.

„Po raz drugi musiałem robić ten film z człowiekiem ulicy, w okresie Monachium i naturalnie pomyślałem o Emiliu. Lecz tym razem zepsuto mi Emila. To, co powiedział, muszę przyznać, było niestraszne. A i tak jeszcze złagodziłem...”

Mamy tu podrobiony doskonale styl dziennikarza, wylapującego dziwactwa i sensacje, ale który nie rozumie. Jest orientacja takiej jak gazety.

A oto scena w pociągu jakże podobna do naszych stosunków i jak zwięzła w swojej plastyce: W pociągach zaczęły się rozwiązy-

wać języki. Ludzie inaczej myśleli niż pisano w gazetach. Gdzieś tam w stronie Tarbes, w jednym z tych zatłoczonych korytarzy pomiędzy walizkami i ludźmi, którzy bez przerwy udawali się do ustępu, mówiło się rzeczy, od których można było jednocześnie zdrześć i pęknąć ze śmiechu”. Aragon przeprowadza kilka też socjalistycznych, które stają się osią fabuły, i demonstruje je na materiale przeżyć swych bohaterów. Tak np. ukazuje **przemianę człowieka apolitycznego pod wpływem faktów**. Czytamy: „Ukrywałem Żyda u siebie. W końcu człowiek się wstydił, że nic nie robił. Zabawny skutek aresztowania Yvonne”.

Mamy paradoksalną scenę, gdy patrioci spotykają się dopiero w więzieniu. Rzeczywistość stawia ludzi po jednej stronie barykady. Julep jest zdumiony, że wbrew jemu samemu, w oczach innych jest już **politycznym**. W czasie ucieczki z więzienia jest on zaliczony do patriotów. Wszyscy inni zostają w akcji pominięci i zostają w celach. Powoli wszystko zmienia się w jego oczach. Oburza się, gdy przyjaciel mówi doń, że jest przerażony ogromnym rozwojem komunizmu po wsłach. Nie przerażają go Niemcy przebywający tu obok, lecz rozwój komunizmu. Oburzenie Julepa świadczy, że zaczyna dostrzegać właściwe i rzeczywiste proporcje zjawisk. Jednocześnie Julep widzi już, że cała Francja, od najmniejszego miasteczka konspiruje i walczy z wrogiem. Jakż to zmiana od 1940 roku! Ale przecież i on się zmienił.

W pewnym miejscu Aragon pisze: Powiedział: „Niech mi pan powie, marszałek Tito... czy to prawda, co o nim mówią, że komunistą?” To go męczy. W żaden sposób nie może mu się przyznać, że kiedy zwiewał z więzienia, nie pytał, kto mnie uwolnił”.

Do tej pory Julep waha się jeszcze z pojęciem do partyzantki. Potem łapie się na tym, że żałuje, iż nie ma broni, aby zabić szpicla — a ma po temu tyle okazji.

Nadchodzi zmiana nie tylko poglądów politycznych i sympatii ale także zmiana pojęć ogólnych, moralnych, odnajdywanie dla siebie nowego miejsca, w którym niespodzianie i pomimo woli postawiła człowieka historia. Ciekawe jest zakończenie noweli. Julep pod wpływem wiadomości o śmierci przyjaciela wstępuje do partyzantki. Fakt, który zdecydował jest obojętny. Bezpośrednia przyczyna mogła być jakakolwiek. Dialektyczny nacisk rzeczywistości dojrzał ku temu dostatecznie. „Marszałek Tito, kimkolwiek jest niech wierzy w Boga lub diabła, ale niech się bije z Hitlerem, to wszystko”.

W innym opowiadaniu charakterystyczna jest dla Aragona — komunistyczna atmosfera i **ton tolerancji, równoprawnienia, niezależności między przedstawicielami dwóch światów**, przy całym obustronnym szacunku. Wykazanie jakiejś **więzi, wspólnoty, ponadświatopoglądowej na gruncie patriotyzmu i moralności solidarystycznej** wobec zła bezwzględne, jakie ucieleśniają morderycy hitlerowscy. **Członek Ruchu Oporu jest przedstawicielem nie tylko swej partii, czy nawet klasy, ale reprezentuje cały naród francuski, ojczyznę i wszystko co w niej najlepszego**. Szczególnie trafna jest w tej sytuacji, gdy człowiek o innych przekonaniach walczy o swoją również skórę, rezygnacja z wszelkiego podkreślenia różnic przez próbę np. dyskusji ideologicznych (czego nie uniknąłby w tej sytuacji żaden partacz literacki), czy nawracanie innowiercy. „Wielki Chrystus na zielonym aksamicie był tego samego zdania”.



Aragon w czasie pierwszej wojny światowej

Równie żywo i przekonująco maluje autor typ kolaborantisty. Znany nam rodzaj człowieka, który jest „realistą”, nie zmienia swych poglądów zależnie od próbek frontowych, jak chorągiewka na dachu. Człowiek, który myśli, że przez trzeźwy rozsądek i godzenie się z **każdą** rzeczywistością, może wyłączyć siebie, swój osobisty los od losu całego narodu; który nie rozumie, że jest związany ze swym narodem pomimo woli, przede wszystkim w oczach samych Niemców, i że musi ponosić na równi z innymi te same ofiary, co naród, czy chce, czy nie chce. Ze lepiej uczestniczyć w losie zbiorowym czynnie, niż przeciwstawiać się mu, bo dla Niemców jest on Francuzem — oni traktują ich zbiorowo. Oto treść nauki, jaką wynieśli wszyscy, i polscy faszyci również, z okupacji. **Prawa rzeczywistości obiektywnej są bezwzględne**. „Realizm” krótkowzroczny, unikanie ofiar, ostrożność, to rachunek na krótką metę. Picot nie chce przedłużyć nie kończącego się łańcucha zemsty i odpłaty. Wierzy, że wystarczy z jego strony lojalność, a zapanuje zaraz lojalność obustronna. Machina rzeczywistości chwytła i kolaborantystów w swoje tryby. P. Picot trafia w najczulszy punkt. Nie można wyjść z szeregu, nie można stanąć ponad barykadę.

W opowiadaniu „Młodzi ludzie” Aragon przedstawia jaskrawo wieczną dialektykę rzeczywistości. Ci, co przed wojną głosili pacyfizm i żądali chleba, po klęsce stanęli w pierwszym szeregu do walki. Wtedy pacyfizm głosili generałowie, którzy przeszli do obozu wroga. W dniach klęski o Francji i ojczyźnie mówili tylko ci, którzy dotychczas gardzili tymi pustymi i nadużywanymi dotychczas cynicznie frazesami.

Styl Aragona jest żywy — zdania krótkie — narracja ożywiona wplątaniem fragmentów dialogów. Tak jest w pierwszym opowiadaniu pt „Spotkanie”.

Język doskonale charakteryzuje tu sferę społeczną i temperament postaci. Opowiada-

*) Louis Aragon „Niewola i wielkość Francji”, Sp. Wyd. „Książka”, Łódź 1946, str. 162.

**) „Twórczość” Nr 10, 1946 r.

nie „Dobrzy sąsiedzi” jest najsłabsze z całego tomu, przede wszystkim przez swą białość fabularną. Pisane jest tym samym stylem opowiadania w pierwszej osobie, pełnym apostofof. Znowu mamy charakterystykę postaci, tym razem zupełnie innej, przez sam sposób opowiadania. W opowiadaniu „Penitent 43” spotykamy zupełnie inny język. Przy opisywaniu myśli i kłopotów prowincjonalnego księdza widzimy starania o wytworzenie atmosfery spokoju, ciszy, jakiejś przygody i życzliwości w stosunku do świata. Robi to autor za pomocą rekwizytów, przedmiotów na których opiera się wzrok; te przedmioty są dobrane według z góry powziętego założenia, są idylliczne: młoda para, kwiaty, dzieci, kościół, małe, powszednie grzechy (przez to przedzierna się nuda), brak jakiegokolwiek żarliwości i wśród parafian i w architekturze kościoła. Ksiądz jest bardzo ludzki np. w połączeniu jego apostołskich ideałów i ziemskich codziennych zainteresowań czy ciekawostek. Np. roztargnienie w czasie spowiedzi, znużenie swymi prymitywnymi parafianami. Sylwetka księdza Leroy, który jest psychologiem doskonale. Język narracji mamy tutaj zupełnie inny, dostosowany do treści, w trzeciej osobie, spokojny, epicki.

W „Szpiclu” mamy nowy teren akcji i zgodnie z tym znów inny styl, zbliżony do stylu z dwu pierwszych opowiadań. Żywy, krótkozdaniowy, apostołiczny. Przeżycia skatowanego więźnia, walka wewnętrzna o to, żeby nie nie powiedzieć, strach przed szpiclem. Wzajemna nieufność trzech zamkniętych razem ludzi. I hart ducha, pragnienie wytrwania ze wszelką ceną. W „Kollaboracjonistcie” dominuje styl monologu wewnętrznego, który charakteryzuje postać zamiast opisu autorskiego od zewnątrz i odstawia sposób rozumowania postaci. Spierano się u nas na ten temat, czy próżność realizacyjna ma cechować behawioryzm, przeprowadzenie tezy autora poprzez konstrukcję faktów, poprzestając tylko na zewnętrznym opisywaniu i notowaniu czynności, czy też używać ma monologu wewnętrznego, publikować myśli autora, przenosząc punkt obserwacji to na zewnątrz to na wewnątrz postaci. Zdaje mi się, że jest to spór jałowy. Decydującym argumentem jest użyteczność chwytu stylistycznego w danym, konkretnym materiale. Wszeczwiedza autorska i tak w każdym rodzaju jest widoczna. A obiektywizm — można by się tu powołać na doświadczenia naturalistów. Dziś już wszyscy zgadzają się, że tendencja, stanowisko ideowe, tak jak cała fikcja powieściowa są związane z najistotniejszą treścią słowa: realizm, i wcale mu nie przeczą.

W ostatnich z opowiadań „Prawie rzymskim”, Aragon wypowiada generalną rozprawę teoretyczną moralności i prawu okupanta. Pod względem formalnym jest to jedno z najbogatszych opowiadań. Mamy tu trójaki sposób pisania. Dwie pierwsze części są w formie monologu, utrzymanym w wyraźnym stylu, charakteryzującym postacie naprzemiennie Lotty Müller i majora Lüttwik — Randau. Styl tych wypowiedzi w pierwszej osobie doskonale dostosowany jest do poziomu umysłowego i zainteresowań postaci; głupek, ograniczonej inteligencji i formalisty, tepego niemieckiego prawnika. Ubóstwo słownictwa, styl, wszystko jest doskonale zindywidualizowane. Natomiast przy malowaniu tła, gór okolicznych w perspektywie setek lat historii Francji, zamków, pamiątek czasów, do których nie mogą się nawet umyć mały, śmieszni Niemcy, torturujący biednych handlarzy owocami, język Aragona przetrząsa się w długie, wspaniałe okrzyki, potężnie, nabiera patosu.

Rozprawa z prawem niemieckim odbywa się w sposób dość niezwykły. Egoistycznym i buszmeńskim, prawem niemieckim przeciwstawia autor skutki ich stosowania, potworne zbrodnie okupanta. Partyzanci obwożą przed śmiercią porwanego majora — sędziego niemieckiego po miesiącach dokonanych zbrodni, aby mu zademonstrować prawa tego owocu. Pomysł jest niezwykły, choć trochę sztuczny. Sposób malowania nieco ekspresjonistyczny. Na przykład: „Znowu droga i księżyc. Czarne drzewa. Kawalki lasu. Szalasy ze ściętych drzew, jak złamane zapalki. Pola. Domy. Apokaliptyczny huk motoru. Szybkość. Jan Piotr mówi. Co pewien czas stają”. Charakterystyczne i celowe w całej koncepcji pisarskiej Aragona jest ukazanie śród partyzantów komunistów, księdza z karabinem na plecach. Przypomina to sceny z wojny hiszpańskiej, z armii republikanów. Aragon stara się ukazać ruch oporu, jako reprezentujący całą Francję i wszystko, co w niej nieupodłone, nie ograniczając się do własnego środowiska ideowego.

W swych siedmiu opowiadaniach Aragon dał nam całość historii okupowanej Francji i całe nieprzebrane bogactwo swego pisarskiego języka.

Andrzej Braun.

TREŚĆ NR. 5:

Iłja Erenburg — Wróciłem z USA; Paul Éluard — Grób Gorana Kowaczicza; Seweryn Pollak — Leningrad; Jan Kott — Lalka po raz ostatni; Ryszard Matuszewski — Na marginesie „Poezji wybranych” Mieczysława Jastruna; Kazimierz Brandys — Samson (V); Georg Lukacs — Powieść jako mieszczańska epopeja (IV); Andrzej Braun — Wyznanie komunisty; Helena Krajewska — Wędrownica po wystawach pararyskich; Edward Szuster — Młeczne opowieści; Jan Szczeptański — Wiech w oczach socjologa; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(Lis trzdziesty pierwszy)

TERAZ już na prawdę Kraków schodzi z wolna do swej dawnej roli — miasta przede wszystkim prowincjonalnego. Trudno komunikującego się z innymi dużymi miastami Polski. To nawet ma swój smak. Aż takie wspaniałe, duże a małe miasto. Koledzy, którzy przed kilku miesiącami, ba, na wet tygodniami opuszczali podwawelski gród, nie spojrzawszy przed odjazdem na Wawel, teraz wrócili w dwa, trzy dni — patrzą, rozglądają się, dziwią. Tak — dziwią się nad doskonale zwolnioną reakcją, która przeciw ma swój porządek i nie grozi wzmocnieniu porządkowi rzeczy gdzie indziej.

Kraków ma stosunkowo największy procent inteligencji. Należyż jest aż tak duża, że poza proporcjonalnym użyciem inteligentów dla celów produkcji, pomazania, rejestrowania zjawisk kulturalnych — nadwyżka zostaje jako zasada. Jako — konserwa. Wytwarza własny ferment. I fermentem tym przejmują produkcję. Zjawisko takie nazywa się tutaj eklektyzmem. Ładnie. I Kraków jest miastem eklektycznym. Szusnie.

Czasami to przyjemnie brzmiące słowo zmienia się w wyraz bliższy człowiekowi — humanizm. Wyrazem tym broną się chętnie Uniwersytet Jagielloński. Nie potrzebne nam nowe metody interpretowania dzieł i postaw. Rozwijamy swoją metodę logicznie i postępowo, ale w oparciu o okres, który był wiekiem złotym. My jesteśmy jego spadkobiercami. Ale Polewka udowadnia, że jest inaczej, że okres świetności U. J. — to scholastyzm.

Wychodzi w Krakowie jedyny poważny miesięcznik literacki „Twórczość”. Jaki to typ powagi? Eklektyczny. Redaktorem „Twórczości” jest docent U. J. Jaki to człowiek? Humanista.

Nie nie mam prawa powiedzieć przeciw profesorowi Wyce — w trudnych moich przeprawach z rozmaitymi po krakowsku eklektycznymi Ciągami zawsze jest moim humanizmem.

Kłótnie, spory i dyskusje w sprawach kultury są nie tylko domeną literatów. Przeciwnie, pisarze najrzadziej może zajmują się w dyskusjach sprawami literackiej praktyki, spór toczy się raczej o zasady i teorię, a każdy z nas pociesza się, że nie zostały jeszcze napisane dzieła według niezawodnych recept na realizm. Odwołanie się do wielkich klasyków powieści — do Tolstoja, do Flauberta, do Stendhala czy Prusa zawsze może uratować tych nieszczyśnych, którzy wiedzą, że nie wystarczy napisać powieści o ziemiach zachodnich, że ta powieść musi być mądra i dobrze napisana. Fotografia kolorowa takiej to a takiej wsi też nam nie wystarczy, bo pamiętamy wielki obraz wsi turgieniewowskiej, a jeśli kogoś raz cudzoziemszczyzna, to niech zajrzy do Reymonta. Słowem — nie wystarczy dobre intencje w literaturze, potrzebne są jeszcze dobre książki.

Malarze z większym obcesem zabrali się do sprawy. Jak słusznie napisał kiedyś w „Nowinach” Csato „będziemy mieć u siebie tę „Zachętę” z czerwonymi krowami Niezależnych”. Czy naprawdę?

Mam przed sobą przeszło 80-stronicowy numer „Głosu Plastyków” z grudnia ubiegłego roku. Mam pozatem tę wyższość nad kronikarzem „Nowin” że nie widziałem owej wystawy Niezależnych, że wystawy urządzone w Łodzi skrzętnie omijam, bojąc się, że jeśli bym je oglądał, zatrucilibym poczucie czasu i musiałbym z leżką w oku wspominać salon Garlińskiego w Warszawie z okresu mojego dzieciństwa.

Otóż lektura artykułów i oglądanie reprodukcji w tym numerze „Głosu Plastyków” skłania mnie raczej do optymizmu. Malarze, dzięki Bogu, kłócą się nie mniej i niegorzej od literatów (vide — artykuł Burskiego w „Warszawie”), a ja myślę, że długotrwała kłótnia w materii artystycznej z pewnością bardziej jest pożyteczna od natychmiastowej zgody.

Dyskusje, jakie toczyły się na tematy malarstwa w prasie literackiej miały tę wadę, że były dyskusjami „technicznymi”. Dla lalka, jakim jestem, wyglądało to tak, że wszyscy chcą czegoś bardzo dobrego i kłócą się tylko o sposób w jaki to świetną rzecz należy wykonać. Okazuje się, że nie wszyscy chcą tych świetnych rzeczy, a sposób właśnie często o tej doskonałości decyduje. I oto pewnego dnia ujrzał Csato i spłoszeni Warszawa i musiałbym z leżką w oku wspominać salon Garlińskiego w Warszawie z okresu mojego dzieciństwa.

nitarnym obrońcą — ale „Twórczość” ma czasami smak piernika. Nie jest to smak piernika toruńskiego — chociaż, gdyby „Twórczość” wydawał Horzycę miałaby smak podobny. Moi krakowscy koledzy mają mi za złe, kiedy zbyt szybko przewracam stronę tego zacnego pisma. Mówią mi, że nie jestem eklektyczny. I że powinienem być. I że „Twórczość” ratuje honor... Autentyczne. I tu dopiero huntuje się. Bo uważam, że nie tylko eklektyzm jest honorowy. Złe jest, gdy ktoś „Twórczości” odmawia twórczości. Ale gorzej gdy ktoś bardziej ceni krakowskie katedry, od krajowych doświadczeń. Od produkcji.

A propos węgla. I we mnie odezwie się niekiedy bunt przeciw postępowaniu Krakowa. Byłem niedawno w Katowicach, gdzie miejscową — to znaczy z Małopolski — literaci wyrzekali na krakowski styl życia. Że oni na Śląsku żyją w kontakcie z hutami, kopalniami, a my tam w Krakowie — tylko z kościołami.

Zapytałem jednego z młodych śląskich pisarzy:

— Jak często bywacie w kopalni, czy hucie?

— A żebyście wiedzieli, byłem raz, niedawno z wycieczką zagraniczną.

Odpowiedziałem:

— I ja byłem raz w kościele Mariackim.

Także z wycieczką zagraniczną. Możemy sobie podać rękę, jest jeden na jeden.

Krakowski rynek wydawniczy żyje. Eklektycznie. Wydali książkę młodzi: Broszkiewicz, Bober oraz Skierski. Ten ostatni, żeby sobie dodać powagi — na fotosach ma wąsiki. Powieści tych jeszcze nikt nie czytał — są duże. Książka Broszkiewicza (wyd. „Wiedza”) nazywa się „Oczekiwanie”. Rzeczywiście autor czekał na jej wydanie dwa lata. Ale ponieważ w myśli zasad eklektycznych „wiedza” nie powinna się spieszyć — wszystko jest w porządku i autor zdrow. Bober nie rozstaje się ze swymi „Rozstajami”. Książka Skierskiego ma obiecujący tytuł „Nieurodzaj”. Pytałem już jednego znawcę w Krakowie — tak, czy nie? Odpowiedział: tak. Łatwy karambol i dziwić się można, że nie spostrzegł go już autor tytułu. A tytuł, mówi mi mój wydawca, to ważna sprawa!

I na koniec — zupełnie poważnie. Kraków ma własną rozgłośnię, dyrektorów i kierowników. Oddział krakowski Związku Literatów ma przeszło stu członków. Od kilku miesięcy kilku krakowskich pisarzy nie słyszał w radio. Dlaczego?

Samodzielny program krakowski, mimo dyrektorów, kierowników, dostaje kilka minut dziennie na samodzielny program. Są dni, kiedy rozgłośnia krakowska po to tylko wyłącza się z programu ogólnego, aby zapowiedzieć własny program na dzień jutrzejszy, że w dniu jutrzejszym poda program na dzień jutrzejszy.

Przy okazji chciałbym się dowiedzieć, co z moją sztuką radiową, którą kierownictwo warszawskie miało mi pół roku temu przebrać i podać na fale eteru. Jeśli nie można podać, to należało odpisać, życząc lepszego Nowego Roku. Ej, warszawiaczy z Krakowa i u was nie wszystko w porządku: cudze ganiecie, swego nie znacie...

A więc w ogóle — jak w Krakowie? Ano nie bardzo dobrze. Bieda. Eklektyczna.

Stefan Otwinowski.

PRZEGLĄD PRASY

artykułem spore reprodukcje dzieł twórcy „Guerniki”. Pomyślałem sobie, że oświatowy działacz wiejski będzie zapewne w kłopotcie i bez wahania przyzna rację demagogicznemu atakom na Picassa, zamieszczonym nieco niższe. Pomyślałem sobie, że „Wies” zmarnowała całą stronę i, że jeśli chce mówić swoim czytelnikom o Picassie, to wprawdzie powinna długo i obszernie pisać o historii malarstwa i zamieszczać reprodukcje „pocziwego” Giermskiego.

Nie ma kultury bez oświaty, albo też będziemy zawracali głowę tym, których chcemy nauczyć, jak się z dorobku kulturalnego korzysta.

To też „Głos Plastyków” na którego marginesie wypisałem tę przydługą dygresję, wydaje mi się właśnie wydawnictwem pożytecznym dlatego, że choć trochę zajmuje się malarstwem nie w migawkowym wycinku, lecz w ramach bardziej szeroki. Sam fakt, że czytelnik może obejrzeć reprodukcje biżantyjskich mozaik i przeczytać artykuł Jerzego Zagórskiego: „Blaski Bizancjum” — pozwala mi na domyślenie, że po tej lekturze i po dokładnym przyjrzeniu się nienaturalistycznym twarom aniołów z mozaik w raweńskim San Vitale, reprodukcje Picassa we „Wsi”, poparte autorytetem osmiu wieków, nie wydadzą mu się już wcale takie śmieszne, jak w porównaniu np. z krową Niezależnych.

Dlatego chwałę „Głos Plastyków”? Dlatego, że artykuł Antoniewicza „Baby kamienne w Nieborowie” wspomniany artykuł

Zagórskiego, trudny „Triumf Maneta” Valery’ego, nielatwy „Daumier” tegoż autora, fragmenty z pracy „Degas, Danse, Dessin” (Valery — w dobrych przekładach Jerzego Wolfa), artykuł o Tytusie Czyszczyńskim i o Witkiewiczu etc., wszystko to daje czytelnikowi szeroką perspektywę na trudną i zawile sprawy malarstwa. Oczywiście „Głos Plastyków” jest pismem „elitarnym”. Ale z tego „elitarnego” pisma, jeśli by ono w dodatku zechciało uprawiać odpowiedzialną politykę „krzewienia” systematycznej wiedzy o malarstwie, niekoniecznie zresztą w formie szkolarskich artykułów, może korzystać każdy, kto zechce z kolei poruszać te sprawy w bardziej popularnych wydawnictwach. „Głos Plastyków” przynosi doskonale reprodukcje, rzecz nie do pogardzenia w kraju, gdzie wielkich wydawnictw z reprodukcjami nigdy nie było w nadmiarze. W jaki sposób upowszechnić sztukę, jeśli nie przez wystawy, i to raczej jak sądzę wystawy reprodukcji starych „pocziwych” mistrzów, odpowiednio skomentowane?

Zapał i entuzjazm każą niektórym pokazywać robotnikom i chłopom w Polsce Picassa po to tylko, by stwierdzić, że novità tego nie rozumie. Z tego wysnuwa się wniosek o przydatności społecznej takiej lub innej sztuki. Lepiej nie pokazywać we „Wsi” Picassa. Obejdź się. Lepiej pokazać Chęćmońskiego, Matejkę, Giermskiego, Millęta, pewnie Delacroix. I objaśniać cierpliwie, długo i rozsądnie. Nie ma kultury bez oświaty.”

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Śląsk Dolny w drugą rocznicę powrotu do Polski 1945—1947”, wyd. Śląski Zespół Wydawniczy, Wrocław, red. Stefan Kuczyński.

Pożyteczną myślą było opracowanie zagadnień gospodarczo-kulturalnych Dolnego Śląska w starannie wydanym zeszycie.

Przegląd nosi tytuł: „Śląsk Dolny w drugą rocznicę powrotu do Polski 1945—1947” — opracowanym pod redakcją prof. Stefana N. Kulczyńskiego. Zeszyt ten obejmuje w krótkim zarysie historię, geografie, administrację, przemysł, gospodarkę i życie kulturalne Dolnego Śląska.

Należy podkreślić staranne opracowanie szaty zewnętrznej wydawnictwa, bogatą ilustrację statystyczną i jasny układ treści.

W pierwszej części znajdziemy wiadomości geograficzne i historyczne o Dolnym Śląsku. Teksty bogato ilustrowane reprodukcjami zabytków i pamiątek kultury państwowej, które przetrwały do dzisiaj. Zwłaszcza opracowane zagadnienie Instytucji Państwowych zaznajamia nas z dziejami i pra-

ca Administracji Wojewódzkiej na Dolnym Śląsku, sprawą repatriacji, pracą samorządu terytorialnego oraz działalnością Wydziału Kultury i Sztuki, Izby Handlowej i szeregu innych instytucji.

Wiele miejsca w omawianym wydawnictwie poświęcono sprawie życia gospodarczego Dolnego Śląska. Szczegółowa analiza osiągnięć odbudowy przemysłu w porównaniu ze stanem w jakim go przejęliśmy ilustrowana jest całym szeregiem ciekawych zestawień i tabel statystycznych. Ukazuje nam rozmiar dokonanej dzieła rysującego się jasną i wyraźną linią na tle obrzydliwych zniszczeń wojennych i dewastacji jakiemu uległo gospodarstwo polskie i terenu Dolnego Śląska.

Artykuł omawiający działalność gospodarki rolnej opracowany na podstawie sprawozdań różnych Instytucji Rolnych — ukazuje nam widoczne osiągnięcia w tej dziedzinie. Rozdział traktujący o życiu gospodarczym Dolnego Śląska zawiera nadto sprawozdania z działalności PPT i MR, Izby Przemysłowej,

ruchu spółdzielczego, kolejnictwa i pozostałych instytucji.

Sprawozdanie omawiające życie kulturalne Dolnego Śląska na pierwszym miejscu ukazuje nam osiągnięcia administracji szkolnej. Z omówienia i zestawienia orientujemy się w stanie oświaty wyrażającym się we wzroście ilości szkół, szerokiej akcji bibliotecznej i licznych formach kształcenia dorosłych. Działalność Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu ukazuje wysiłek podjęty w kierunku uruchomienia obu uczelni oraz bilans ich pracy. Mamy tu także sprawozdania prac innych Szkół Wyższych jak również Towarzystw i Zakładów Naukowych znajdujących się na terenie Śląska. Przegląd życia kulturalnego uzupełniają wiadomości o życiu literackim, teatralnym, muzycznym, zarys prac spółdzielni wydawniczej „Czytelnik” i rozwoju prasy miejscowej. Wraz z organizacją urzędów i warsztatów pracy powstawały na Dolnym Śląsku oddziały Związków Zawodowych — omówienie ich działalności oraz sprawozdania z życia sportu, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego zamykają opracowanie poświęcone dwuletniej gospodarce Polski na terenie Dolnego Śląska.

Publikacja ta przyczyni się niewątpliwie do wyjaśnienia i zmiany niejednego fałszywego poglądu o śląskim terytorium.

mb

„Biologia w szkole” — czasopismo dla nauczycieli. Kwartałnik z r. 1948 wyd. P. Z. W. S.

Wobec zmiany programów szkolnych i przesunięcia kursu dawnej szkoły średniej do ostatnich klas szkoły podstawowej, nauczycielstwo tej ostatniej stanęło wobec konieczności dostarczenia młodzieży systematycznych wiadomości z zakresu botaniki, zoologii i nauki o człowieku. W latach wojny i okupacji byliśmy odcięci od źródeł wieści rozwijających się nauk przyrodniczych. Czasopismo „Biologia w szkole” spełnia ważne zadanie informowania nauczycielstwa o stanie współczesnej wiedzy biologicznej, o jej postępach, zwłaszcza tych, które powinny odbijać się na pracy szkolnej, które dojrzały do popularyzacji. W pierwszym numerze (styczeń-marzec) pismo porusza wiele aktualnych zagadnień teoretycznych jak wstępnym do głębi na ewolucję, zagadnienie żywej materii i białka, oraz praktycznych jak sprawa nowych programów szkolnych, zagadnienia ochrony przyrody, instrukcje dotyczące pracy w ogródkach szkolnych a ponadto dzieje ogrodów zoologicznych Warszawy, sylwetki zasłużonych pedagogów przyrodników, recenzje nowych wydawnictw, informacje o pracy przyrodniczych ognisk metodycznych i t.p.

Pismo powinno się znaleźć nie tylko we wszystkich bibliotekach szkolnych, ale w ręku każdego nauczyciela, wykładającego nauki przyrodnicze.

m. m.

KORESPONDENCJA

Nie „Wiedza” a „Ekspress Wieczorny”

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!
W numerze „Kuźnicy” z dnia 18.1.48 r. Nr 124 w rubryce „Książki nadesłane” wymieniono powieść Jerzego Seweryna „Kierunek na Elżbietkę” jako wydawnictwo naszej Spółdzielni. Ponieważ książka ta nie została wydana przez nas, lecz przez „Ekspress Wieczorny”, co wyraźnie zaznaczono na egzemplarzach, prosimy uprzejmie o sprostowanie tej omyłki.

Dyrektor Wydziału Wydawniczego
W. Zawadzki

KOMUNIKAT

CHCESZ OTRZYMYWAĆ „KUŹNICĘ”
REGULARNIE I TANIEJ
NIŻ W SPRZEDAŻY ULICZNEJ?
ZAPRENUMERUJ JA

Z dniem 15.1.48 roku cenę pojedynczego numeru pisma zmuszeni byliśmy podnieść z Zi 20 na Zi 25. —
ale warunki prenumeraty zostały niezmiennie i wynosił nadal Zi 80. — mies., a Zi 240. — kwartalnie, co daje w ciągu roku O SZCZĘDNOŚĆ ZŁ 340. — i gwarancję regularnego otrzymywania pisma.

Dział prenumerat mieści się przy ul. Piotrkowskiej 53, tel. 180-74, czynny od godziny 8—18.

KOMPLETY — TYGODNIKA „KUŹNICA”

z roku 1946/47

do nabycia w Administracji Wydawnictwa „Czytelnik” — Piotrkowska 96, prawa oficyna, I piętro, pokój Nr 155, w godzinach od 9—15.

Cena kompletu zł 480.—, z przesyłką pocztową zł 600.— Wpłaty uskutecznić na P. K. O. konto VII—567 Oddz. w Łodzi.

Reklama amerykańska

Pod powyższym tytułem publikuje korespondencję z Nowego Yorku paryski „Franc Tireur”. Oto ona:

„Sprzedawca dużo i sprzedawca szybko jest świętą zasadą handlu w USA. Trzeba by konsument kuszony, uwodzony, zmuszany jeśli zachodzi tego potrzeba kupował, kupował i jeszcze raz kupował, ponieważ bez tego zaważył się cała gospodarka USA. Agenci reklamy zarabiają w ten sposób olbrzymie sumy. Reklama kosztuje rocznie w USA więcej niż miliard dolarów, jak to oblicza czasopismo „Fortune”.

Korespondent „Franc Tireur” przytacza parę przykładów. Amerykanie piją dużo mleka. Marek mleka jest bardzo dużo, ale mleko, jak mleko — podobne jest zawsze do siebie. No oczywiście, ale mleko firmy Borden nie ma sobie równych. Tak przynajmniej utrzymuje krowa Elsie. Krowa Elsie i jej rodzina (mąż i córka) ukazują się każdego tygodnia na kolorowych stronach wszystkich ilustrowanych czasopism. Rozmawiają o tym i o owym i sprzedają mleko Borden. Mało tego. Prawdziwa krowa, esencja autentyczności, i żyjący symbol Elsie-Borden ocielają się. Gdzie? W wielkim sklepie na oczach tysięcy widzów. Wiedział o tym cały kraj. Jak nazwać cię? Borden nie wie — daje się ogłoszenie w dziennikach: każdy kto znajdzie odpowiednie imię dla syna Elsie otrzyma nagrodę 25.000 dolarów. Jest to o wiele więcej niż otrzymuje autor dobrej książki. Czyż można w ten sposób nie nabrać przekonania, że mleko Borden jest w istocie czymś wyjątkowym.



W Ameryce istnieje dużo kremów służących do upiększenia buziaków młodych Amerykanek. Jednakże krem Pond'sa posiada własność szczególną i magiczną: dziewczyna, która go używa znajduje narzeczonego. „Ma narzeczonego — jest piękna — używa kremów Pond'sa” — oto slogan tej firmy poparty fotografią. Na fotografii widnieje autentyczna naręczona w otoczeniu mamy, papy i ukochanego. Sfotografowana dziewczyna otrzymuje za to paręset dolarów.

Piwo Rheingold jest takim piwem jak wiele innych. Jednakże istnieje Miss Rheingold. Każdego roku firma przedstawia swym najbardziej i przyszłym klientom całą masę fotografii: przyjrzyjcie się tym ładnym dziewczynom, która z nich ma zostać Miss Rheingold? Kartki do głosowania znajdują się w piwiarniach. Wypełniają je miliony kobiet i mężczyzn. Wybrana w ten sposób w głosowaniu powszechnym Miss Rheingold przez cały okrągły rok ukazuje się w różnych pozach i najdziwniejszych kostiumach na kartkach ilustracji, na ścianach Metro — zawsze ze szklanką piwa w ręku. Nie ma potrzeby mówić jakiego piwa. I to pomaga w sprzedaży? Ba, i jak jeszcze.

Whisky Calvert nie może się reklamować przy pomocy ładnych dziewcząt ponieważ whisky jest napojem męskim. Tak przynajmniej twierdzi. Ale Calvert znalazł sposób: „Ludzi wykłnytnych”. Fotografuje się dyrektora wielkiej fabryki, malarza, Adolfa Menjou, czy ja wlem zresztą kogo, z mieną wykwintną, siedzącego w sposób wykwintny i zawsze ten sam, pokazującego wykwintne skarpetki ostatniej mody ze szklanką whisky w ręku. Whisky Calvert, ponieważ „ludzie wykłnytni piją Calvert”.

Trzeba by całych tomów, aby wylizywać wszystkie slogany reklamujące ubrania „tańsze o 22% (tańsze od czego?), papierosy, które mają „5,5% mniej nikotyny” (mniej od czego?) itd. Wszystko należy jednak do kategorii małej reklamy. Co innego na przykład, być wylaczynym posiadaczem nieba Nowego Yorku. A właśnie niebo Nowego Yorku należy do Pepsi-Cola. Wyłącznie. W każdy słoneczny dzień mieszkańcy Nowego Yorku widzą nad sobą olbrzymie litery z dymu i tylko przyjezdni z prowincji zapytują się, co nastąpi po literze P. Pepsi-Cola ma bowiem umowę z niebem w Nowym Yorku.

Pisałam już wielokrotnie (korespondentem jest kobieta, Maria Crealpeau) o reklamie radiowej. Pisałam o programach w czasie których udziela się ślubu dwójm młodym ludziom i ofiarowuje im podarki ślubne, wylaczając szczegółowo markę każdego z magazynów — ofiarodawców. Pisałam o programach (są to programy nadawane publicznie) w czasie których młody człowiek, który

zgodził się zrobić wszystko co od niego zażąda (rozbić się, siedzieć godzinami w lodówce, poślubić pierwszą kobietę, którą napotka) otrzymuje nagrodę. Są programy w czasie których stawia się widzom — uczestnikom pytania w rodzaju: „Kto jest prezydentem USA?”, albo „Z czego jest zbudowany Pont d'Acier?” (Pont — most i Acier znaczy stal). Często, widz nie umie odpowiedzieć. Jeśli umie, spada na niego potop lodówek, samochodów a nawet czasem sportowych samolotów. Widz jest zadowolony — rzecz jasna — miliony słuchaczy zainteresowanych a fabrykant, który zapłacił za program zacięra ręce. Wróć się.

Ponieważ mówiliśmy o „Fortune” — niech mi będzie wolno opowiedzieć, jak stoi sprawa między nami. Fortuna i ja. Abonowałam „Fortune”. Nie odnowiłam abonamentu. Otrzymałam pierwszy list zwracający mi uwagę, że abonament mój dobiega końca. Potem drugi, zawiadamiający, że abonament się skończył. Potem trzeci zwracający mi uwagę na zapomnienie odnowienia abonamentu. Potem czwarty z prośbą naprawienia tego zapomnienia. Piąty, który wychwala wszędzie znanie i jedynę w swoim rodzaju usługi „Fortune”. Wreszcie szósty przynoszący zapewnienie, że wręcz zarobie na ponownym zaabonowaniu „Fortune”. Tak sprawa stoi dzisiaj. Ja jestem uparta. Oni, jak się zdaje, także. O dalszym rozwoju sytuacji zawiadomę czytelników. Ktoś z nas będzie musiał ustąpić.

Zostawmy „Fortune” i wróćmy do Pepsi-Cola. Jest to słodka napój konkurujący z Coca-cola, napojem narodowym. Pepsi-Cola nie ogranicza się bynajmniej do okupacji nieba Nowego Yorku. Co godzinę, radiostacja zawiadamia: „Jest druga godzina, czas na Pepsi-Cola; jest trzecia godzina, czas na Pepsi-Cola; jest czwarta godzina, czas na...”. Potem następuje krótka melodia grana i śpiewana. Pewien humorysta utrwalił w swym notatniku historyczny moment, w którym Ameryka rozpoczęła emisję radiową dla ZSRR. Rosjanie i jego żona siedzą w pokoju i spoglądają na siebie zdziwieni w momencie kiedy po raz nie wiadomo który Pepsi-Cola nadaje swoją piosenkę. Wiesz co to jest? — pyta żona. Nie — odpowiada małżonek zmieszany. — Sądzę jednak, że to jest ich hymn narodowy.

bs

Sprawa Ady Sipuel

Dwa lata temu, fakultet uniwersytetu w stanie Oklahoma odmówił przyjęcia Murzynki Ady Sipuel, motywując swą decyzję tym, że ustawy tego stanu nie zezwalały na wspólną naukę białych i czarnych. Ada Sipuel nie dała jednak za wygraną i zaskarżyła decyzję uniwersytetu przed sądem stanu. Sąd ten orzekł jednak, że uniwersytet postąpił słusznie. Wobec tego, Ada Sipuel zwróciła się do Sądu Najwyższego USA. W tych dniach Sąd Najwyższy powziął decyzję, zgodnie z którą stan Oklahoma zobowiązany jest niezwłocznie umożliwić Adzie Sipuel studiowanie prawa. Zdawało się, że młoda Murzynka osiągnęła



już ostatecznie zwycięstwo. Wskazywano na to, że to orzeczenie Sądu Najwyższego jest bez precedensu i będzie miało wielkie znaczenie dla sprawy dopuszczenia Murzynów do ośrodków nauki. Niestety, przewidywania te były przedwczesne. Ponieważ Sąd Najwyższy nie nakazał wyraźnie przyjęcia Ady Sipuel na uniwersytet dla białych, a tylko zobowiązał władze stanu do umożliwienia jej studiów prawniczych, władze te, aby nie dopuścić Murzynki do uczelni dla białych, uchwałyli założenie specjalnej szkoły prawa dla Murzynów.

Wobec tego, że realizacja tej uchwały będzie wymagała dłuższego czasu, Ada Sipuel została nadal pozbawiona możliwości studiów prawniczych.

bs

Dobry premier i niedobrzy studenci

Premier Iraku Saides Saleh Jabr, który znajduje się jeszcze w Londynie, oświadczył w dniu 22 stycznia: „Mam nadzieję, że zarówno parlament, jak i naród Iraku znajdzie pełną realizację aspiracji narodowych naszego kraju w nowym traktacie anglo-irackim”. W związku z doniesieniami, że Irak nie zamierza ratyfikować traktatu premier oświadczył: „W czasie mojej czasowej nieobecności pewne destruktywne elementy, których liczba

jest na szczęście ograniczona wykorzystali nieświadomość garstki studentów w celu wywołania niepokojów”.

Jak donosi prasa, w Bagdadzie odbywają się ogromne demonstracje przeciw ratyfikacji nowego traktatu z Wielką Brytanią, który całkowicie oddaje Irak w ręce monopolistów angielskich. Oczywiście wszystkiemu winna... nieświadomość garstki studentów i destruktywne elementy.

Panna Gawronek

Spośród wielu plag powojennych, najmniej są tzw. „panie z towarzystwa”, jako kelnerki, „panie z towarzystwa”, jako sklepowe, „panie z towarzystwa”, piszące dla dzieci. Ostatnio daje się zauważyć szczególny ich wpływ na sprawę kultury, sztuki i wychowania. Oto mamy przed sobą „Antologię polskiej literatury dziecięcej”, opracowaną przez panią Skowronek. Wydawnictwo to, które ma służyć jako przewodnik i drogowskaz dla nauczycieli i wychowawców, stanowi tak nieudolnie skłócającą pracę, że musi napełnić niepokojem nie tylko pedagoga, ale w ogóle każdego, kto ma jakąkolwiek styczność z literaturą dziecięcą.

Już pierwsze słowa wstępu napełniają czytelnika zdumieniem. Ze „względów praktycznych” (?) pominięte są w antologii utwory, wydane podczas lub po zakończeniu wojny. Panna Skowronek nie wyjaśnia, na czym te „względy praktyczne” polegają, pominięte jednak w antologii całej twórczości z okresu ostatnich lat ośmiu czy dziewięciu pozbawia wydawnictwo wszelkiej wartości i właściwego sensu. Okres, który mieści w sobie całą wojnę i wszystkie powojenne przemiany, znalazł swój niezaprzeczalny wyraz w literaturze. Odrzucenie tego całego dorobku wypacza obraz prezentowanego odcinka literatury, wprowadza w błąd wychowawcę i czytelnika, separuje go od nowych i świeżych źródeł twórczości. Ale jeśli chodzi o autorów dawniejszych, poprzedzających okres międzywojenny, to i tutaj dowolność i brak jakichkolwiek kryteriów literackich czy wychowawczych jest wręcz uderzający. Trudno jest pojąć, dlaczego właśnie wprowadza panna Skowronek utwory Jachowicza i Konopnickiej, a pomija Krasieckiego, Mickiewicza, Kraszewskiego, Fredrę, Dygasńskiego i wielu innych.

Z okresu dwudziestolecia zamieszcza utwory nieznanymi bliżej autorów: Dynowskiej, Duszyńskiej, Gillowej, Szuchowej, ale pamięta tak wybitne imię, jak Broniewskiego, Brzezińskiego, Błakowiczówny, Korczaka, Górskiej, Świrszczyńskiej, Wiszniewskiego i wszystkich pisarzy powojennych.

Antologię poprzedza przedmowa o polskiej literaturze dziecięcej. Zawarte w niej powierzchowne oceny sprowadzają się do akcentów negatywnych w stosunku do wszystkich niemal uznawanych przez pannę Skowronek autorów. Twórczość Jachowicza „raz zbyt młodym moralizatorstwem i czułościową formą” Większość utworów Konopnickiej musi odpaść ze względu na przebrzmiałą atmosferę społeczną. Co do formy, „w wielu wypadkach razi nas monotonia zwrotek i brak urozmaicenia rytmu”. Or-t jest pod wyraźnym wpływem Konopnickiej i utwórach Ejsmondy „raz zbyt zbytnia czułościowość i eukierkowość”. Wada Rozowskiej są „dłuższy w opisach i co gorsza niedoścignięcia natury pedagogicznej”. Nawet najbardziej uznawana Porazińska „ma w niektórych wypadkach zbyt trudny język i zbyt zawilża budowę zdań”. Zarembiny „Nymf” i „Zuch” nie odznaczają się wysokim poziomem artystycznym. Niektóre bajki Kramienickiej „mają układ niejasny, rytm chropawy, rymy niezręczne, razi wprowadzanie brzydkich słów bez sensu”. Szymbalski „da młodszych napisał rzeczy ważne w treści, lecz słabsze w formie”. Książka Themersona nie posiada akcentów społecznych, a punkt ciężkości spoczywa na zagadnieniach dydaktycznych, nie wychowawczych”. Książki Makuszyńskiego „nie mają wartości artystycznych ani wychowawczych”. Twórczość Przechwy „nasuwa wiele wątpliwości”. Duża część jego utworów tematami nie jest dostosowana do zainteresowań dziecka (częste motywy matrymonialne), „język jest trudny wskutek wprowadzenia słów nieznanymi dziecku”.

Obok tych symplicystycznych i błędnych ocen znajdujemy też ogólną ocenę twórczości międzywojennej. Dowiadujemy się więc, że tylko dzieki publikowaniu utworów swych w „Płomyku” lub „Płomyczku” pisarze tego okresu przejęli się „atmosfera społeczeństwa i demokratyczności”. Ten niezręczny utwór panny Skowronek w stronę Związku Nauczycielstwa Polskiego ma widocznie zniechęcić nauczycieli do posilkowania się jej książką.

Zresztą, zawarte w antologii utwory nie ilustrują w namnieszym nawet stopniu założeń panny Skowronek, wypowiedzianych w przedmowie. Są z nią, raczej, w zupełnej niezgodzie. Aczkolwiek więc podnosi panna Skowronek walory wychowawcze utworów Porazińskiej, te, które przetrwały, należą właśnie do grupy utworów rozwickowych. Ten chaos myślenia jest bodajże najistotniejszą cechą omawianej książki.

Ale gwoździem tej pracy (oczywiście, gwoździem do jej trumny) jest zamieszczenie w niej utworów Antoniego Bogusławskiego, tego samego, który podpisał ową sławną enuncjację pisarzy emigracyjnych, aby nie drukować w kraju.

I to wszystko zmaistrowała panna Skowronek, wydała Państwowemu Zakładowi Książek Szkolnych, a zatwierdziło, jako książkę pomocniczą dla nauczycieli, Ministerstwo Oświaty.

Czyżby i tam pracowały „panie z towarzystwa”?

rdo

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydszca: Zespół „Kuźnicy”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻOŁKIEWSKI

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.

CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpate 40 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.

Należność za prenumeratę należy wpisać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy”.

D—018412 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, świrk 2.